

TWARZ W PŁOMIENIACH

A. W. MATUSZEWSKI

TWARZ W PŁOMIENIACH

(W BRAZYLII)

*Własność Biblioteki
Grodzkiej*

Pamiętaj



ten znak

WYDAWNICTWO „BIBLIOTEKI GROSZOWEJ”
Warszawa, ul. Moniuszki Nr. 11.



BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0126140

260703

BIBLIOTEKA GROSZOWA

WYDAWNICTWO TYGODNIOWE

REDAKTOR H. ZAJĄCZKOWSKI

WYDAWCA BIBLIOTEKA GROSZOWA

Warszawa, ul. Moniuszki 11. Konto P. K. O. 11.140.

WARUNKI PRENUMERATY:

Łącznie z dodatkami dla młodzieży i magazynem nHP, z przesyłką pocztową:
kwartalnie (za 13 książek) Zł. 9 gr. 95.
a w oprawach „ 13 „ 95.

Prenumeratę przyjmuje Administracja
Biblioteki Groszowej i wszystkie urzędy pocztowe.

Ilustrowane katalogi gratis i franko.

Znak 95 groszowego Wydawnictwa prawnie zarejestrowany i naśladowictwa będą sądownie ścigane.

Polska Drukarnia w Białymstoku, Sp. Akc., ul. S-go Rocha 3.

M/297/01

20

I

W KARNAWAŁOWĄ NOC

Rozłożone wśród wzgórz nad jedną z najpiękniejszych zatok świata, Rio de Janeiro *) tonęło w mrokach nocy.

Najłżejszy wiatr nie mącił fal morskich, usuwających się z cichym syczeniem coraz dalej od brzegu i napróżno starających się dotrzeć do stóp wysokiej ściany muru, za którym wzdłuż wybrzeża Botafogo ciągnęła się szeroka, o tej godzinie pusta i głucha „avenida“. **)

Przybywszy do stolicy pod wieczór na małym statku kabotażowym, z trudem przecisnąłem się przez rozbawiony tłum, szalejący po ulicach miasta w noc karnawałową, i zatrzymałem się wreszcie na kamiennych schodach mola, szukając wgłębienia, gdziebym mógł spokojnie przespać kilka godzin, niedojrzany przez bystre oko czarnego „policmana“.

*) Największy port Brazylii.

**) Aleja.

Znalazłem je wkrótce wśród głazów granitu, zwiezionych do naprawy muru, uszkodzonego w czasie ostatniej burzy.

Zakryty doskonale od strony miasta i pewny, że mnie nikt nie dostrzeże, okryłem się paltem, przygotowując się do wypoczynku, aby nazajutrz—skoro świt—wyruszyć na miasto w poszukiwaniu pracy.

Zmęczony byłem straszliwie, lecz sen jakoś nie przychodził.

Od strony miasta dolatywał—zdawało mi się—daleki gwar rozbawionego lekkomyślnie tłumu. — Przede mną krążyły po zatoce łodzie strażnicze... U stóp moich migotały fale, szmerząc cicho, niejednostajnie...

* * *

Tuż nade mną zatrzymało się auto.

Na schody weszło dwoje ludzi. Wyraźnie odróżniałem wesoły śmiech młodego dziewczęcia i dźwięczny męski głos.

Rozmawiali szeptem. Ona za każdym słowem wyrzucała z siebie kaskady śmiechu.

Usiedli obok mnie za głazami. Przez szczelinę widziałem profile ich twarzy, odcinające się ostro mimo ciemności na tle lśniącego granitu schodów.

Rozmowa stawała się coraz głośniejszą, mężczyzna coraz natarczywszy. Wreszcie ona, reagując widocznie na jakiś niewłaściwy gest—słowa bowiem żadnego

nie słyszałem—zerwała się nagle, pobiegła na schody i rzekła krótko:—„wracamy!“

On podniósł się powoli i wstępował za nią w górę schodów, gdy jednak był od niej już niedaleko, podskoczył, uchwycił ją w pół i wniósł—szamoczącą się—do auta.

Nie słyszałem najłżejszego krzyku... Motor auta milczał...

Senny i półprzytomny okryłem się szczelnie w płaszcz i przytuliłem się do głazów, od oceanu powiał bowiem ranny, chłodny wiatr...

Po chwili ponowny, tępy szelest nóg na kamiennych schodach, szmer wleczonego ciała... Głuchy plusk wody, jakgdyby coś ciężkiego w nią wpadło... Szmer wzburzonych fal...

Potem hałas motoru odjeżdżającego auta zagłuszył wszystko.

* * *

Stało się to tak nagle i niespodziewanie, że dopiero po pewnym czasie zerwałem się na równe nogi.

Oprzytomniałem zupełnie.

Zrozumiałem, że oto stało się coś strasznego, że jedno z tych dwojga przed chwilą tuż obok mnie roześmianych młodych ludzi, pochłonęły fale, że popełniono zbrodnię, której byłem mimowolnym świadkiem...

Musiałem uciekać możliwie najszybciej i najdalej.

Niebezpieczeństwo groziło mi istotnie poważne. Obcy byłem w tym mieście zupełnie, nikt mię nie znał. Gdyby mię znaleziono w pobliżu miejsca zbrodni, podejrzenie padłoby niechybnie na mnie, a dla nieznanego włóczęgi nie było wówczas ratunku...

Nie namyślałem się więc długo. Pobiegłem wzdłuż muru, skacząc z głazu na głaz. Świadomość grożącego mi niebezpieczeństwa spotęgowała moje siły. Robiłem nieraz olbrzymie skoki, nieprawdopodobnie olbrzymie, ponad zalewanymi przez przyływ głazami, ponad odbijającymi się od muru spienionymi falami.

Dobiegłem do następnych schodów, wychyliłem ostrożnie głowę, rozglądając się wokół...

Na schody, leżące tuż obok opuszczonego przeze mnie przed chwilą legowiska, wstępował właśnie policjant. Przeszył bystrym wzrokiem ciemną przestrzeń po obu stronach schodów i — nie znalazłszy widocznie nic ciekawego — poszedł dalej.

Miasto, znużone szaloną zabawą, spało w głębszej ciszy.

Posuwałem się ostrożnie wzdłuż murów kamienic, przystając co krok i nad słuchując. Odpocząłem dopiero, dojrawszy dworzec kolejowy. Uspokoilem się.

Z przybyłego świeżo pociągu lunęła fala ludzi, wchłonęła mię w siebie i uniosła. Śiadłem kilku

podróżnych wstąpiłem do ubogiej restauracji w bocznej uliczce obok dworca i przy czarnej kawie przesiadziałem do świtu...

* * *

Pisma poranne nie przyniosły najmniejszej wzmianki o zbrodni.

Czyżby to miała być halucynacja zmęczonego umysłu?...

Z niecierpliwością oczekiwałem pism wieczorowych, skracając sobie czas włóczęgą po ulicach miasta.

Nie zwracano na mnie uwagi. Każdy śpieszył się, jakby go goniono, uciekał przed wściekłym żarem słońca, przebiegał jedną ulicę, dwie i wpadał do pierwszego lepszego napotkanego po drodze „Café”, aby odpocząć przy „małej czarnej”.

Pod wieczór ulice ożywiły się znacznie, a o zmroku trudno już było przecisnąć się przez strojne, gwarne tłumy, przesuwane się zwolna, leniwie we wszystkich kierunkach.

W pismach wieczorowych nie znalazłem również ani słowa o zajściu nad zatoką. Nabierałem przekonania, że nocna moja przygoda była rzeczywiście zwyczajnym przykrym snem.

Dzień jednak straciłem bezpowrotnie, pracy nie znalazłem.

Tymczasem trzeba było rozglądać się znowu za

miejszem noclegu. Szczupłych swych zasobów pieniężnych nie chciałem tracić na hotel, nad zatokę iść nie miałem jakoś ochoty. Szedłem prosto przed siebie, zdawszy się na łaskę losu.

* * *

Przechodziłem właśnie obok teatru.

Do zajazdu skręciło lekko lśniące, czarne, wytworne auto. Było tak starannie utrzymane i wprawna ręką prowadzone, że mimowoli podszedłem bliżej.

Otwarły się drzwi oszklone cicho, bez szelestu, z wnętrza wysunęła się zgrabna, w skromny wieczorowy strój okryta postać kobieca.

Przechodziła obok mnie. Spojrzałem na twarz. i z gardła wyrwał mi się stłumiony krzyk.

Był to ten sam profil, który wczorajszej nocy widziałem na tle kamiennych schodów mola.

Podniosła na mnie wzrok... Drgnęła i przez moment zawahała się...

Uchyliłem kapelusza z krótkiem—„przepraszam“. Postąpiła kilka stopni wyżej, zatrzymała się, jakby się namyślając, poczem pobiegła szybko w górę i znikła w przedsionku teatru.

Ja zaś poszedłem dalej w swoją drogę...

* * *

Nie wiem, w jaki sposób, dość, że znalazłem się znowu nad zatoką, w tem samym miejscu, w którym spędziłem pierwszą noc.

Usiadłem na najwyższym stopniu, zapaliłem fajkę i, wydobywszy notatnik, opisałem dosłownie wrażenia pamiętnej nocy.

Po dwu godzinach byłem już w redakcji jednego z większych dzienników. Do porozumienia doszło łatwo. Otrzymałem 20 milrejsów zadatku, drugie 20 miałem otrzymać po wydrukowaniu notatki, to jest nazajutrz rano.

Miałem świeże pieniądze.

Naczelnny redaktor zażądał mego adresu. Wskazałem mu pierwszorzędny—„Hotel Grande“. Udałem się tam prosto z redakcji, zająłem skromny pokój na czwartym piętrze, poczem wyszedłem na dalszą wólczęgę po mieście...

Tragedja, której byłem świadkiem, nie dawała mi spokoju.

* * *

Noc miałem niespokojną.

Zdawało mi się, że „ona“ czai się za memi drzwiami, to przez okno zagląda, to drzwi otwiera... Zrywałem się, zapalałem światło—w hotelu panowała niezmacona cisza...

Bezsennie przeleżałem do rana.

O godzinie ósmej zastukano do drzwi.

Hotelowy chłopiec wręczył mi list: redaktor pisma, które umieściło moja notatkę, wzywał mię do siebie za godzinę.

Gdy o godzinie dziewiętej wchodziłem do gabinetu redakcji, skoczył ku mnie wysoki, wytwornie ubrany mężczyzna:

— Musisz pan koniecznie przedłużyć akcję jeszcze chociażby na trzy numery. Siadaj i pisz do „wieczorowego“! Honorarium 100 milrejsów, płatnych zgóry!

Wypowiedział to wszystko jednym tchem, bez przywitania. Śpieszyło mu się. Poranny numer został rozchwytyany, domagano się dalszych informacji, pytano, czy to karnawałowy „kawał“, czy też istotne zabójstwo?...

Zaprzeczyłem ruchem głowy.

— Nie! Zakończenie opowiadania mam już gotowe. Niecałe dwieście wierszy. Oddam je za trzysta milrejsów, gotówka zgóry!

Redaktor skrzywił się zjadliwie.

Podniosłem się, chcąc wyjść. Zatrzymał mnie.

Po chwili wychodziłem z redakcji, obładowany milrejsami, spokojny na szereg dni i pewny wesołego jutra...

* * *

Bezwiednie zaszedłem znów wieczorem na granitowe schody, ciepłe jeszcze żarem słońca. Usiadłem tam, gdzie oni wówczas siedzieli, i zamyśliłem się, patrząc w głąb wody...

Zdało mi się nagle, że oto z dna wygląda sina twarz ludzka, olbrzymia, potworna, a oczy otwarte, czarniejsze od nocy, są tuż, tuż pod powierzchnią wody.

Oderwałem wzrok od ohydneho widoku, lecz twarz, jakby niewyciężony magnes, przyciągnęła go zpowrotem.

To pęczniała, wzdymała się, to rozlewała, unosiła ku górze i opadała...

Zerwałem się pod wpływem zbyt silnego uczucia wstrętu...

— Dlaczego pan krzyknął na mój widok tam, pod teatrem?

Drgnąłem...

Stała obok mnie w tej samej skromnej sukni. Głos miała spokojny, wzrok—pewny siebie. Zdołałem wyczytać w niem tylko coś jakby wyrzut, że jej spokój naruszył.

— Z tego samego powodu, dla którego drgnąłem, ujrzawszy panią *tu, w tem miejscu*.

Zastłoniła oczy powiekami — na krótką sekundę. Otworzyła je nagle.

— Co chcesz za milczenie?

— Odpowiedzi na dwa pytania.

— Jakie?

— Pierwsze: co panią łączyło z tym człowiekiem?...
drugie: co było powodem pani kroku?

Sięgnęła ręką do torebki.

W ręce jej błysnął mały browning. Podnosząc go z wolna wgórze, cedziła cicho przez zęby:

— Znałam go oddawna... W czasie zabawy wzięłam go do auta, aby nad morzem odetchnął świe-

żem powietrzem... Nie umiał być człowiekiem... Sztylet mój dotknął jego piersi... Przywiązałam mu w pasie ciężki kamień... Spoczął na dnie, albowiem zawinił... Posiadłeś tajemnicę—przeto...

Schwyciłem za rękę, skręciłem ją i wyrwałem broń.

— Proszę kończyć—„Przeto“...

Pochyliła głowę... Kilka łez stoczyło się na głazy... Zachwiała się.

Podtrzymałem ją za ramiona i podprowadziłem do auta.

Chwilę odpoczywała. Wreszcie ujęła kierownicę, wskazała mi miejsce obok siebie... i ruszyła...

* * *

Pędziliśmy przez miasto z szaloną szybkością.

Po dobrym kwadransie takiej jazdy skręciła do okolonego wysokim murem parku i wjechała w boczną aleję.

Odeszliśmy kilka kroków. Spoczęła na murawie, opierając się o pień ołbrzymiej palmy.

Usiadłszy naprzeciw, ze zdumieniem obserwowałem jej twarz, coraz to inny przybierającą wygląd.

Snać ciężką z sobą staczała walkę, bo pierś jej od czasu do czasu szybko falowała, usta się zacinały, a palce obu rąk spletały kurczowo.

Oczy miała wciąż przymknięte. Gdy wreszcie podniosła wielkie, gładkie powieki, skierowała wzrok

wprost na mnie. Oczy jej były teraz tak naiwnie wesole, a tak przytem dziwnie jakoś błyszczące, że zadrzałem. Wyraźny dreszcz zimna przebiegł mi po kościach.

— Pan drży?... Tu zimno!... Pojedziemy dalej!...

Mówiła wesoło.

Nachyliłem się, aby jej pomóc powstać. Prawa jej ręka zakresliła w powietrzu mały łuk...

Odskokczyłem.

Ręka jej opadła ku ziemi, z dłoni wysunął się cienki, długi sztylet. Podjąłem go.

Ukryła twarz w dłoniach, ciałem jej wstrząsały gwałtowne łkania.

Dotknąłem jej ramienia, prosząc, by wstała. Nie rzekła ni słowa.

Postawszy jeszcze chwilę i widząc, że zaczyna się uspokajać, oddaliłem się.

Na zakręcie spojrzałem na nią ponownie. Siedziała z twarzą, ukrytą w dłoniach.

Wyszedłem z parku...

* * *

I znów fatum zapędziło mię na kamienne schody mola.

Zatoka lśniła u wybrzeża refleksami światła latarni, w głębi migotały latarnie łodzi strażników.

A od dna ohydna twarz wciąż świeciła fosforycznym światłem. Oczy wypływały pod powierzchnię, to znów cofały się w głąb i znikaly...

Napróżno starałem się oderwać wzrok.

Było w tym widoku coś strasznego, ale i coś tak zagadkowego, tak wyglądało na samoistne, prawidłowe zjawisko przyrody, że zacząłem już przewidywać nowe formy zjawy. Zgóry wiedziałem, kiedy ukążą się oczy, kiedy twarz się nadmie, skurczy, kiedy zajaśnieje, rozleje się i zniknie...

* * *

— Wiedziałaś, że pana tu zastanę! Prawda, jaki cudny widok! To moje ulubione miejsce!

Stała znów obok mnie, uśmiechnięta, wesoła, spokojna... Powstałem... Usiadła na zwolnionym przeze mnie głazie.

Poczęła mówić o pięknie morza, o muzyce fal, ich szeptach w czasie ciszy i groźnym ryku podczas burz.

Wodziła przytem niespokojnym wzrokiem po powierzchni wody.

Starałem się odwrócić jej uwagę od miejsca, w którym przed chwilą widziałem ohydny zjawę, wskazując jej na spowite mgłą kontury „Pâo d'assucar“,*) prosiłem, by odeszła, gdyż zaczynało być chłodno...

W pewnym momencie powstała nagle. Oczy jej

*) Wysoki szczyt górski u wejścia do zatoki, przypominający kształtem głowę cukru, i stąd jego nazwa.

otwarły się szeroko, wargi zaczęły drżeć i szeptać niezrozumiałe jakieś słowa.

Ująłem ją za rękę, bojąc się, by nie wpadła do wody.

Drgnęła.

Podziękowała spokojnym głosem i — niby przypadkiem — poruszyła nogą leżący poniżej głaz. Stoczył się z wolna w głąb, z głuchym pluskiem rozbijając wodę.

Zdało mi się, że słyszę odgłos miażdżonych kości...

Nadpłynęła fala, wyrównała toń... Spojrzałem w dół — ani śladu twarzy.

Ona zaś, skacząc lekko z kamienia na kamień, dotarła do schodów.

Podążyłem za nią. Ujęła mię pod ramię i szepnęła:

— Jak tu zimno! Chcę pić Vogue la galère! Ty będziesz pił ze mną! Chcę ciepła... wina... pić!

Wciągnęła mię do auta...

* * *

Przybyliśmy pod cichą, małą wille, ukrytą w głębi dzikiego podzwrotnikowego parku.

Wysoko nad dachem kołysały się pochylone olbrzymie palm kokosowych, z jednej strony szumiała ściana bambusów, z drugiej stękały ciężkie pnie palmy, wprost, aleją, daleki widok na zatokę



Zaciągnęła auto pod dach szopy, przylegającej do tyłów domu, otworzyła drzwi.

Dom był pusty.

Zapaliła światło. Zajaśniało kilkanaście lamp, zaśkrzyły się ściany od barwnych dywanów. Wzorzyste tkaniny leżały rozrzucone po podłodze, przykrywały niskie otomany, stołki.

Z ukrytej w ścianie szafy wydobyła kilka butelek wina, postawiła obok kielichy na podłodze i rzuciła się obok, okrywszy się szerokim, długim szalem.

Usiadłem również.

Napełniła kielichy, wychyliła swój jednym haustem, bez oddechu, potem drugi, trzeci...

Zarumieniły się jej policzki. Oparła głowę o poduszki i—zaczęła opowiadać.

Mówiła o sobie.

Przybyła skądś z pustyń Arabji—matką jej była Włoszka—rodzina jej wymarła na żółtą febrę—została sama—zamierza wrócić do rodzinnych piasków—jest samotna—smutno jej—cierpi...

Opowiadała bezładnie. Mało z tego wszystkiego rozumiałem, zajęty byłem wyłącznie obserwacją. Twarz jej naprzemian okrywała się cieniem bezgranicznego smutku, to jaśniała weselem szczęśliwego dziecka.

Nalała z nowej butelki.

— Ostatni kielich!... Za spokój nocnej ciszy!

Nie pozwoliłem jej donieść do ust... Odebrałem

z ręki kielich — wyrzuciłem przez okno. Toż samo uczyniłem z moim kielichem i napoczętą butelką wina.

Ujmując ją za obie ręce, rzekłem:

— Oto twój browning i sztylet... Oddaję ci je zpowrotem... I odchodzę... Trucizna wsiąkła w ziemię... Siną twarz z dna zatoki zmiażdżyłaś złomem granitu... Lecz uciekaj!... Sprzedaj jutro to, co masz, wsiadaj na okręt, wracaj do rodzinnych swych stron... I bądź wesołą, jak w ową karnawałową noc na granitowych schodach mola!

Wyszedłem.

Odprowadzały mię zalane łzami oczy...

* * *

Minęło w spokoju kilka dni.

Nagle cała awantura. Obudzono mię o świcie. Okazało się, że wreszcie zauważono zniknięcie znanego w kołach wesołej młodzieży obcokrajowca i wszczęto poszukiwania. Policja zwróciła uwagę na moje notatki, redakcja wskazała adres.

Zaprowadziłem komisarza na kamienne schody.

Wydobyto zmiażdżone, rozkładające się zwłoki.

Musiąłem również wskazać jej willę. Drzwi otworzyła nam stara mulatka. Przerażona, opowiedziała, że jej pan nabył willę przed trzema dopiero dniami, poprzednia zaś właścicielka, samotna młoda kobieta, wyjechała, nie pozostawiając po sobie ani śladu.

Pod oknem leżały resztki stłuczonej butelki i dwu kielichów.

II JAK ŻMIJA

- Czy polowałeś kiedy na ludzi?
— Co?... Na kogo?...
— Na ludzi.
— Zwarjowałeś? Skądżeż ci nagle takie głupie pytanie wpadło do głowy?
— Wcale nie takie głupie... Bo ja polowałem!
— Hm?...
— Tak!.. A czy na ciebie polowano już kiedy?
— Al... al... To co innego!.. [Sądze, że już „niejedna“ na mnie polowała!.. Ha! ha! ha!.. I jeszcze wprawdzie nie upolowała, ale może kiedyś upoluje... Ha! ha! ha!..
— Nie śmieję się!.. Mówię o prawdziwym polowaniu... Z psami i strzelbami... Dużo ludzi... I tu... i tam... Ukryci, dobrze zasłonięci... Tropią, czekają, czyhają... Na człowieka... Czasem na kilku ludzi... To bardzo interesujące... Bardziej nawet, niż polo-

wanie na jaguary... Bo jaguar—to dzikie bydlę i niebezpieczne, ale głupie... A człowiek?... Ho!.. ho!.. To mądre bydlę!.. Mądrzejsze nawet od Joanowego muła... Wiesz którego?... Tego z nad Rio dos Patos... Żadne inne stworzenie nie mogło przejść przez to bagnisko, a muł Joana znalazł drogę i... przeszedł... A Joan podpatrzył swego muła... i też przeszedł. I odtąd chodzi tam muł... na świeżą trawę, chodzi też i Joan, tylko nikt nie wie, poco i dlaczego... O!.., Widzisz?... Pod tą górę!.. Z żadnej strony tam nie dojdzie, tylko przez to trzęsawisko... Ale nikt tam jeszcze nie był oprócz muła i Joana... Mój ojciec nawet tam nie był, ani dziadek... Chociaż obaj byli daleko, daleko, za górami, nawet w tem mieście, gdzie cesarz mieszkał...

— No!.. Wszystko to bardzo dobrze!.. Ale jaki to ma związek z polowaniem na ludzi?..

— Czekaj!.. Nie śpiesz się!.. Zaraz ci opowiem!.. Mamy jeszcze czas!..

* * *

Tak mówił nasz przewodnik i przyjaciel, potomek jednego ze szczepów Indjan stepowych, rzucony przez losy z głębi łądu na brzeg oceanu, wyborny strzelec i tropiciel jaguarów, które tępił z zaciekłością...

Nazywał się on bardzo długo: José Maria Antonio dos Santos, wołaliśmy go zaś krótko: José.

Twarz podłużna, szczupła, rysy jakby wykute z baltu, wzrok przenikliwy, wyraźny, pogodny. Włosy przyprószone siwizną. Cała postać krzepka, niesłychanie zwinne ruchy, siła olbrzyma.

Przewodnik był z niego wyborny. Spokojny, zrównoważony, znał się na puszczy jak rzadko kto, rozumiał każdy jej szept, odkrył wszystkie tajemnice...

Poznaliśmy go rok temu zupełnie przypadkowo.

Zarobiwszy kilkaset milrejsów na budowie drogi, wybraliśmy się na dłuższy czas w puszcze, na granicę stanu Paraná i São Paulo, tuż nad wybrzeżem oceanu. Było nas wówczas trzech: ja, Tadek Śliwicki, którego poznałem na robotach, i jego znajomy, również niezły kompan—Stach Kondracki.

Zabrnęliśmy daleko w głąb puszczy.

Pod wieczór ósmego już coś dnia pobytu w dzikim lesie, gdyśmy właśnie zamierzali zabrać się do cięcia gałęzi na szałas i ognisko, usłyszeliśmy nagle dosyć bliski strzał.

Rzuciliśmy noże i schwycili strzelby... Ukrywszy się za pnie drzew, wszyscy trzej niedaleko siebie, ustawieni tak, że jeden drugiego dobrze widział, czekaliśmy z bronią gotową do strzału, wsluchani w szmer puszczy.

Nie przebrzmiało jeszcze echo strzału, gdy hałas począł zbliżać się ku nam z głębi, coraz wyraźniejszy, coraz bliższy. Jakby trzask łamanych gałęzi...

* * *

Na kilka kroków przed nami rozwarł się gąszcz krzewów, zaśnieżyli dwa ślepie, wysunął głowę ogromny jaguar.

Zwietrzył widocznie ludzi... Zawahał się... Rozwarł szeroko szczęki w krwiożerczym uśmiechu.

Daliśmy trzy równoczesne strzały, głowa jaguara znikła.

Echo porwało huk trzech strzałów, poniosło go w głąb puszczy... Grało niby daleki, głuchy grzmot. Staliśmy długo nie opuszczając strzelb.

* * *

— Nie strzelać!... Człowiek jestem!...

Echo strzałów zamarło nagle, jakby w połowie brzmienia urwane.

Poruszyła się ściana krzewów, ukazały się najpierw dwie dłonie, rozchylające żywy mur, potem pogodna, uśmiechnięta twarz ludzka.

— Witajcie ludzie, przybyli z Bogiem! José jestem, strzelec!...

— Witaj człowieku, z Bogiem przybyły!

Wyszliśmy z za drzew. Spojrzał na nasze strzelby, uśmiechnął się.

— Trzy młode istoty... trzy strzelby... cztery strzały... jeden jaguar... Ale celne strzały, i jaguar wart ich czterech... Wasz on jest!...

— Mówiłeś „cztery strzały”, więc twój jeden.

W dodatku pierwszy. Tyś był na tropie jagnara. On jest twój!

— Wasz jest!... Powiedziałem!... Może już nie pierwszy, ale taki napewno ostatni!... Popatrzcie!

Zbliżyliśmy się. W cieniu gąszczy leżało bezwładnie wyciągnięte cielsko jaguara.

— Patrzcie na pazury, na kły!... Niejeden dziesięć lat!... Trzeciego dopiero takiego kolosa w mem życiu widzę... A mam ich już dużo za sobą!

Przy zdejmowaniu skóry stwierdziliśmy, że pierwsza kula poszła w pierś, w okolice serca, dwie wpadły w otwartą paszczę i wyszły z tyłu głowy, czwarta utkwiała w czaszce, wszedłszy tuż pod okiem.

Jaguar niedługo byłby przetrzymał pierwszą kulę.

* * *

Zaprosiliśmy strzelca do naszego ogniska, spożyliśmy razem wieczerzę i gawędzili potem długo w noc.

Przyjaźń zawarliśmy szczerą.

Rozeszliśmy się o świcie. On ruszył dalej w puszcze, my zaś zpowrotem do swych siedzib. Przynieśliśmy sobie jednak, że na przyszły rok, gdy zakwitną pomarańcze, przybędziemy do niego, zapolujemy razem na jaguary i dzikie koty.

Zakwitły pomarańcze, odszukaliśmy jego szałas.

Witał nas jak braci. Na śmierć i życie ujęliśmy go sobie dwoma podarunkami: nowym belgijskim

brówningiem z kilku setkami naboju i angielskim sztucerem.

I oto wybraliśmy się wraz z nim w puszcze, a po pięciu dniach, ubiwszy dwa młode jaguary i kilka dzikich kotów, siedzieliśmy przy ognisku, słuchając opowiadań i zastanawiając się nad tem, w którym kierunku ruszyć o świcie.

* * *

Mieliśmy rzeczywiście dosyć dużo czasu. Jeszcze ognisko nie schwyciło grubszych pni, rzuconych dla podtrzymania żaru przez całą noc, kręczone na prętach nad ogniem dwa dzikie indyki skwierczały jeszcze półsurowe, Tadek wykańczał dopiero budowę szałas.

Wreszcie szalas był gotów, a nozdrza nasze począł drażnić miły zapach dobrze upieczonego mięsa.

Zasiedliśmy do myśliwskiej ucztę, zakrapianej winem, którem napełnialiśmy zawsze nasze manierki, ilekroć tylko wybieraliśmy się w drogę. Oczywiście, chrzciliśmy je dobrze wodą—aby było więcej.

Nasyciliśmy pierwszy głód.

— José! Mów teraz o tem polowaniu na ludzil

Obżałszy się jak wąż boa, każdy z nas wyciągnął, jak mógł najwygodniej, zmęczone kości.

Dymek z czterech fajek połączył się z lekkim dymem płonącego już pełnym płomieniem ogniska, rozłożonego wokół naszego szałas.

Wesoły trzask radośnie w górę buchających płomieni zagłuszał szmery puszczy.

Czuliśmy się spokojni, zadowoleni, szczęśliwi.

* * *

— Więc słuchajcie!...

Wyplunęliśmy z ust ślinę, nasiąklią posmakiem nikotyny, aby potem w opowiadaniu nie przeszkadzać, wpatrzyliśmy się w oczy strzelca.

— O Joanie mógłbym wam długo opowiadać... Znam go jak swój pusty szafas, własnymi zbudowany rękami... Powiem tylko tyle, że to zły człowiek... Przybył w te strony przed dziesięciu coś laty i zaraz założył „wendę”... *) Zgromadził wszystkich ludzi, jacy mieszkali na kilka dni drogi wokół, upoił ich „kaszasem”... **) Począł potem wycinać ich rękami co cenniejsze drzewo w puszczy, zabierał od nich skóry upolowanych zwierząt, całe łodzie ryb... A wszystko za kieliszek „kaszasu”, jakąś marną koszulinę, ubranie... Za proch i kule kazał sobie dobrze płacić skórąmi jaguarów... Wszystko to woził później łodziami do Paranaguá ***) i sprzedawał... Na całym wybrzeżu nikt nie ma własnej „kanoy” ****), tylko on... Wszyscy są jego dłużnikami... Ten za zapalki, tam-

*) Sklepik

**) Wódka z trzciny cukrowej.

***) Port w stanie Parana.

****) Canoa—łódź wyrobiona w jednym pniu drzewa.

ten za ubranie, a wszyscy za proch, kule śrut, i „kaszas”. Co pewien czas Joan przepada—jak kula w powietrzu... Słyszałem, jak sobie niektórzy opowiadali na ucho, że Joan, idąc w ślad za mulem, przeszedł przez bagnisko, że odkrył tam złoto... Może to i prawda... A sam już widziałem, że gdy mu mój przyjaciel Antonio wspomniał coś o złocie, Joan popatrzył na niego złym wzrokiem... Pewnego dnia Antonio zginął bez wieści... Już dziesiąta pełnia księżycy mija, a on nie wraca... Przypuszczam, że padł z ręki Joana... A coś cztery lata temu przybyło w te strony dwóch białych... Nocowali u Joana, pytali go o coś i poszli potem w puszcę... Śledziłem wówczas „anty”... *) Napotkałem w puszczy kilku zauszników Joana, wreszcie jego samego... A w kilka dni później znalazłem dwa nagie trupy... Byli to owi dwaj biali... Dowiedziałem się, że pytali Joana o złoto... I zginęli...

* * *

Ponad trzask ognia przedarło się wycie przeciągłe, podobne do nagłego, urwanego w pół miauknięcia... Potem jęklivy wrzask, bolesny, śnać ostatni...

— Jaguar upolował sarnę!—szepnął José. Puszcza ożyła, mieszkańcy jej wyszli na łowy...

Polują na siebie, jeden na drugiego... Zupełnie jak ludzie...

*) Tapiry.

Tadek podniósł się z ziemi i—milcząc — dorzucił świeżych gałęzi do ogniska.

Przytłumiony na chwilę płomień okrył się gęstą zasłoną dymów, unoszących się skłębionymi tumanami prosto w górę, ponad olbrzymie drzewa... Od dołu poczęły przemykać się małe jęczyczki ognia, coraz gęstsze, coraz obfitsze i wyższe... Wreszcie płomień wydarły się znowu gwałtowną fontanną... Ostatnie dymy rozchwiały się u góry...

* * *

— José! Kończ opowiadanie!

— Już skończyłem.

— A jak na ciebie polowano? Nic nie opowiedziałeś!

— Tak samo, jak na tamtych dwóch. Zresztą, jeżeli chcecie wiedzieć jak, to idźcie do wendy Joana, zapytajcie go o złoto, a potem wejdźcie w puszczał... On na was zapoluje!... Nie radzę zresztą!...

Myśl ta, zupełnie dla nas nowa, spodobała się nam bardzo. Zwłaszcza Tadek zapalił się do niej, aż pokraśniał.

— O!... To mi idea!... Brawo!... Doskonale!... Niech zapoluje!... A może los się odwróci i my zapolujemy na Joana!... Rozkosznie!

Napróżno odradzał nam José tę imprezę. Nie słuchaliśmy go tłumaczeń. Wszak było nas trzech, zdrowych i silnych i—co najważniejsza—dobrze strzelających. Naboi mieliśmy dosyć...

* * *

Postanowiliśmy więc, że José wróci do swego szałas, my zaś—we trzech — dojdziemy do wendy Joana i zanocujemy u niego. Przyjdziemy w sam raz pod wieczór, powiemy mu przy pierwszej lepszej sposobności, że szukamy złota, o którym słyszeliśmy w mieście, że leży w tych górach nawierzchu. A potem pójdziemy w puszczał, mając oczy i uszy otwarte na wszystko, jakgdybyśmy wpadli w wielkie gniazdo jaguarów.

Decyzja zapadła mocna, jakkolwiek José oponował do ostatniej chwili, coraz to nowe wynajdując trudności i wywlekając najfantastyczniejsze niebezpieczeństwa. To Joan ma—podług niego — posiadać taką wódkę, która odbiera człowiekowi siłę i mąci bystrość wzroku, to znowu do stawy dosypać może proszku usypiającego, to—wreszcie—wynajdzie tysiące sposobów wywołania waśni z którymś z jego powierników.

Napróżno silił się José nad wymyślaniem przeszkód. Nie słuchaliśmy go zupełnie, a pytali tylko o drogę do wendy Joana.

— Postanowiliście... Trudno... Wola wasza... Boję się jednak o was... Bo wyście moi przyjaciele... Pamiętajcie, że będę zawsze blisko was... Gdy usłyszycie za dnia głos gołębia,—a w nocy krótki rechot żaby — strzeżcie się z lewej strony i z przodu... Na

świergot kanarka i dwa rechotania—baccie w prawo i wstecz, poza siebie... Na krzyk sowy lub „bigua“*)—chwytajcie za broń...

Zanim zdążyliśmy zastanowić się nad jego słowami — José porwał się z ziemi i znikł w gęstwinie...

* * *

Teraz dopiero zauważyliśmy, że już świtało.

Niebo zszarzało zupełnie. Widoczne stały się pnie i korony drzew. Z ogniska pozostał jeno gorący jeszcze popiół.

Spakowaliśmy szybko nasze przybory i—spożywszy na śniadanie resztki wczorajszych indyków — ruszyliśmy w drogę.

Im bliżej wybrzeża, tem wilgotniejszy stawał się grunt, tem większy, trudniejszy do przebycia gąszcz. Szliśmy jednak napotykanemi coraz częściej ścieżynkami, wyciętymi przez myśliwych wśród splotów żywego muru.

Nie odpoczywaliśmy zupełnie, kilkakrotnie jednak przystawaliśmy. Zdawało się nam bowiem, że coś za nami zaszeleściło, to znowu coś między drzewami mignęło, to wreszcie najwyraźniej słyszeliśmy trzask łamanej gałęzi. Nic jednak nie zauważyliśmy.

Zbliżał się wieczór. Wyszliśmy na ogołocony z krzewów skalisty brzeg.

*) Ptak wodny, czarny, wielkości dzikiej kaczki.

O jaką godzinę jeszcze drogi, u stóp wysokiego wzgórza, spadającego ostrem zboczem wprost w ocean, dostrzeżliśmy obszerny, długi dom, kryty czerwoną cegłą. Poznaliśmy od razu opisany nam przez przyjaciela dom Joana.

Zabity nam serca żywiej. Urwis Tadek zanucił najpierw „Marsyljanke“, a potem jakiś dziwaczny refren z własnego repertuaru „pieśni bez słów“.

Kroczyliśmy żywo wzdłuż wybrzeża...

* * *

Dom Joana różnił się tylko dachem od reszty domów, budowanych w puszczy. W miarę długi, z surowych, toporem ciosanych, nierównych desek. Jedyne dach, czerwoną kryty cegłą, kazał się domyślać, że właściciel tego domu czuł się dosyć za moźnym.

Do właściwego domu przylegały z trzech stron dobudówki, niższe nieco, kryte suchemi pękami liści palmowych. Z jednej strony dobudowano pomieszczenie na „wende“ z trojgiem zdaleka widocznych drzwi, z drugiej — mieszkanie, co zdradzały szerokie okna, z tyłu zaś widać było wystający szczyt trzeciego dachu, opartego już o skałę.

W odległości jakich dwustu kroków od domu płynęła mała rzeczka, przez którą przerzucono wąską, wysoką kładkę...

* * *

Wchodziliśmy właśnie na kładkę.

Tuż obok, na dole, stało może czternasto, może piętnastoletnie dziewczę, obserwujące nas z widoczną w oczach ciekawością. Wokoło leżały rozpostarte na kamieniach, snać wysuszone po wypraniu różne części bielizny i odzieży, które dziewczę to zbierało właśnie do kosza.

Przystanęliśmy, patrząc to na siebie, to na dziewczę, które, zawstydzone naszą bezczelnością, z pośpiechem zaczęło zbierać resztę bielizny. Kosz okazał się jednak cięższy, niż można było przypuszczać, i dopiero z dużym wysiłkiem został uniesiony wgórę.

Nie namyślając się długo, skoczył Tadek z kładki prawie do samych stóp dziewczęcia i, składając ukłon z lekkim uśmiechem, ofiarowywał swe usługi:

— Jestem młodzieniec o bardzo dzikim nazwisku, nazywam się bowiem Tadek Śliwicki. Nie przeszkadza to jednak temu, że kosz ten jest stanowczo za ciężki. Pozwoli senhorita*), że poniosę go do domu, do którego właśnie zdążamy, aby prosić o nocleg.

W międzyczasie ja i Stach zbliżyliśmy się również, witając ją ukłonem.

Ze zdumieniem wpatrzyłem się w jej twarz... Twarz tę już gdzieś dawno temu widziałem, nie mogłem sobie jednak narazie przypomnieć gdzie.

*) Czytaj: senjorita — panna.

Podniosła duże ciemne oczy, świecące lękiem, jakby oczy spłoszonej sarny, przerzuciła wzrok z Tadeka na każdego z nas pokolei... Uśmiechnęła się nieznacznie.

— Nie!... Dziękuję!... Matka byłaby na mnie zła... I siostra także... Proszę jednak do domu mego ojca... Noclegu pewno nie odmówi.

Odeszła, uginając się pod ciężarem i z trudem stąpając po skalistym gruncie,

Była już dosyć daleko, a smutny jej głos wciąż dźwięczał nam w uszach.

— Carramba! — zaklął Tadek... W tem coś jest!... To nieczysta sprawa!...

I ruszył przed siebie, nie czekając na nas. Dziewczę znikło już w głębi domu.

* * *

Przystanęliśmy u wrót ogrodu, klaszcząc w dłonie i wołając gospodarza.

Wychyliła się postać niskiej, suchej kobiety, jakich tysiące już widziałem w mej wędrówce po Brazylii, chytrze i bystro oglądającej nas od stóp do głów.

— Wejździe!... Pana niema w domu, lecz zaraz powróci!... Wejździe!...

— Podeszliśmy bliżej. Jako najlepiej znający język portugalski, wytłumaczyłem wiedźmie w kilku słowach, o co nam chodzi. — Zabłądziliśmy — mówiłem —

w puszczy, pragniemy przenocować, rozpytać o drogę i zaraz nazajutrz ruszamy w dalszą drogę.

Wprowadziła nas do wnętrza.

Na gołych deskach ścian czerniały tu i ówdzie plamy skór dzikich zwierząt, pod ścianami całe ich stopy. W pośrodku izby, wśród kilku dużych kamieni, tliło się ognisko. Nad nami dach bez sufitu.

Usiedliśmy obok ogniska, złożyliśmy przy sobie plecaki, pozostawivszy strzelby razem w jednym kącie.

Po chwili weszło znane nam już dziewczę (później dowiedzieliśmy się, że ma na imię Henrica*), dorzuciło do ogniska kilka gałęzi, rozdmuchało płomień, nastawiło duży kocioł wody i — milcząc, nie podnosząc nawet głowy — znikło w drzwiach przybudówki.

Potem już nikt do nas nie przychodził. Zdawało się nam tylko, że w szparze ściany zaświeciło coś między deskami.

Tadek twierdził, że to było małe, czarne oko żmii.

* * *

Za oknem rozległy się ciężkie kroki.

Wszedł tęgi, atletycznie zbudowany mężczyzna. Rzucił czapkę w kąt.

Powstaliśmy.

— Witajcie, ludzie z Bogiem!

*) Czytaj: Enrika.

— Witaj, gospodarzu!

Wysunąłem się naprzód i powtórzyłem naszą prośbę. Wysłuchał uważnie, pilnie nas obserwując.

— Siadajcie sobie swobodnie! Jak u siebie w domu... Miejsca jest u mnie dosyć!

— Henrica! — krzyknął w stronę drzwi, prowadzących do przybudówki, klaszcząc w dłonie.

Stała w drzwiach.

— Podaj „chimaron”!*)

Usiadł obok nas. Wypiliśmy po kilka łyków gorzkiego płynu.

Henrica znikła znowu za drzwiami...

* * *

W blaskach ogniska przyjrzeliliśmy się bliżej gospodarzowi.

Na pierwszy rzut oka poznać w nim było Włocha, akcent jego mowy potwierdzał to nieomylnie. Pomimo częstych uśmiechów znać było — po nagłym ich urywaniu — charakter skryty i mściwy. W oczach jego migotały zbójckie blaski. Przebiegały one niespokojnie to po nas, to po ścianach, zatrzymywały się często na naszych dubeltówkach, wbijały się w nasze plecaki, jakgdyby je chciały przejrzeć nawylot i dobrze zapamiętać ich zawartość.

Joan uśmiechał się często. Widzieliśmy, że „robi”

*) Czytaj: szimara — specjalnie przyrządzany i podawany napój z herwa maté.

uprzejmego gospodarza. Skorzystał z tego Tadek, zaproponował kolację z wódeczką i winem.

Joan wezwał — dwukrotnym oklaskiem — swoją żonę. Zjawiła się wraz z jakąś drobną osobką, w której domyślaliśmy się drugiej córki gospodarza. Umówiliśmy się o cenę trzech kur, które miały być natychmiast upieczone (zdarto z nas, oczywiście, niemilosierdzie), i przeszliśmy następnie do sąsiedniego pokoiku, służącego za wendę.

Na wysokich półkach leżał towar w skąpych ilościach, beładnie rozrzucony. Wszystkiego po troszeczkę: obok butelki atramentu kilka sucharów, na stosie koszul kawałki mydła. W kącie stała olbrzymia beczka „kaszasu”.

Wypiliśmy kilka kieliszków. Gospodarz zachęcał, tłumaczyliśmy się słabemi głowami.

Tymczasem na podwórku dokonano rzezi trzech kur. Odbyło się to pocichu, bez hałasu. Brano kureę z grubej paki (coś w rodzaju kojca), wrywano jej ze skrzydła grube pióro i dolny, ostry jego koniec wbijano w tył głowy ptaka. Śmierć następowała momentalnie, kura nie miała czasu na najślaby krzyk.

* * *

Wyszliśmy nareszcie z wendy. Dwaj moi towarzysze poczęli grać „wstawionych” tak dobrze, iż początkowo obawiałem się zupełnie serjo, że istotnie obydwaj się upili. Zwłaszcza Tadek był kapitalny.

Po drodze napotkaliśmy ową małą osobkę, przypatrującą się nam bystro małemi, czarnemi oczkami. Na pierwszy rzut oka zdawało się nam, że stworzenie to mogło mieć sześć do siedmiu lat, po bliższem jednak przyjrzeniu się poznaliśmy rychło swój błąd. Oczy patrzyły chytrze, wszystko zdradzało „kobietę”. Dziewczyna mogła jednak mieć najwyżej lat dwa-naście.

Chwiejąc się na nogach, podszedł do niej Tadek i, ujawszy ją nagle pod brodę, zapytał:

— Jak ci na imię, cudny aniołku? Daj buzi!

I nachylił się rzeczywiście, jakby ją miał zamiar pocałować.

Wstrzymał go Joan.

— To moja ostatnia córka, Anita, najdroższe moje dziecko. Za miesiąc odbędzie się jej wesele z moim przyjacielem. Szkoda, że was tu nie będzie!... Byłbym was prosił w swaty...

— Poco w swaty? — przerwał Tadek. — Daj mi ją za żonę!... Ha! ha! ha!... Będę dobrym mężem!... Ha! ha! ha!

Nie wiedząc, jak gospodarz na ten żart zareaguje, wtrąciłem się śpiesznie do rozmowy:

— Daj spokój, Tadek! Upiłeś się! Nie gadaj głupstw!

Joan udawał wesołego.

Od drzwi oglądałem się za siebie. Anita stała

w tem samym wciąż miejscu, lekko w naszą stronę pochyłona.

Odniosłem wrażenie, jakgdybym zobaczył żmiję...

* * *

Przy kolacji, którą spożywaliśmy w czterech wraz z gospodarzem, rozmowa toczyła się żywo. Tadek plótt niestworzone rzeczy. Stach, jako najstarszy, trzymał się dosyć poważnie, poklepując od czasu do czasu gospodarza po barach. Ja zaś, udając silne zainteresowanie się rozmową i jedzeniem, obserwo wałem ukradkiem gospodarza i śledziłem mieszkań ców domu, których bliską obecność zdradzały szme ry za ścianą.

Do naszego towarzystwa przyłączyło się wkrótce jeszcze dwóch kabokli*) z minami zawodowych opryszków, śnać dobrze z gospodarzem żyjących, albo wiem zachowywali się, jak u siebie w domu. W cza sie rozmowy dowiedzieliśmy się, że to oni właśnie mieli w najbliższym czasie pojąć za żony córki Joa na Anitę i Henrikę.

Rozmowę podtrzymywał głównie Tadek, rozpra wiający z humorem o wszystkim, co mu na myśl wpadło.

W pewnym momencie wspomniał też, ni by wyga dawszy się po pijanemu, że słyszał w mieście, jako by w tych górach miało znajdować się złoto, i że

*) Mieszkańcy (mieszkań) Brazylii.

z tego powodu mamy ochotę zbadać tę rzecz na miejscu.

Zauważyłem, że gospodarz wymienił przy tej spo sobności znaczące spojrzenie ze swoimi przyszłymi zięciami.

— A jakże wy się w te góry dostaniecie, kiedy istnieje jedno tylko przejście przez bagnisko, a wy tego przejścia nie znacie?

Chytre to pytanie Joana miało na celu wyciągnię cie z nas dokładniejszych wiadomości o celach na szej wyprawy. Tadek jednak, udając wybornie w dal szym ciągu pijanego, wywinął się bardzo łatwo.

— Jak?... Ty nam wskażesz!.. Albo twoi towarzy szel... Wiesz co, gospodarzu?!.. Zrobimy dobry inte res!.. Ty nam dasz przewodnika, a gdy znajdziemy złoto, podzielimy się po równych częściach... Zgoda?... Was trzech i nas trzech... Podział równy, bez kłopotu... Tylko złoto znaleźć!.. Zgoda?..

— Zgodal Zgodal!..

Wypiliśmy znowu, a że już było późno, gospo darz zaklaskał w dłonie i kazał Henrice przygotować skóry na posłanie. Uczyniła to w milczeniu i szybko, poczem, zebrawszy porzucone obok ogniska naczy nia, znikła za drzwiami.

Wyszedł również gospodarz i dwaj jego towa rzysze.

Zostaliśmy sami.

* * *

Rzuciliśmy się na skóry.

Wśród cichego szumu puszczy uszy nasze chwytaliśmy lekkie szelesty za ścianą przybudówki — szmer czających się kroków.

W szczelinie między deskami błyszcząły długo małe, zjadliwe oczy, pełne nienawiści, bijącej w nas z każdym tętnem krwi, z każdym uderzeniem serca... Oczy źmii...

Zwolna szmery milkły, znikły światełka małych oczu. Dokoła nas zaległa cisza, zmęczone powieki zamykały sen.

Długo przewracałem się z boku na bok. Dręczyło mnie pytanie:

— Gdzie ja ją widziałem?... Gdzie ja ją widziałem?...

* * *

W ścianę domu uderzyła nagle fala wichru.

Zaskrzypiały okiennice. Przez szpary ścian wdarły się gwałtowne podmuchy, sycząc i świszcząc złowrogo, i hulać poczęły po izbie.

Potem jeden za drugim spadać poczęły z za gór ciosy wichury.

Pookrywaliśmy się szczelniej skórami.

Od czasu do czasu wydzierają się z puszczy żałośne krzyki łamanych konarów, stękania walących się olbrzymów.

Niebo rozgorzało jednym nieprzerwanym blaskiem. Widno się stało jakby w dzień.

Zagrały wreszcie pioruny. Huczały grzmoty, łącząc swe echa ze świstem wichru w jeden piekielny ryk. Wkońcu lunęła ulewa.

Od strony puszczy szedł już jeden olbrzymi, groźny szum.

* * *

Minęło wszystko, przeszło jak sen.

Puszcza szumiała jeszcze woddali, brzmiały daleko coraz to cichsze grzmoty. Od strony oceanu dochodził jednostajny, głuchy szmer.

Blask błyskawic ciemniał zwolna, gasł.

Nieprzejrzany mrok otulił nas wokoło.

Burza minęła.

* * *

Za ścianą cichy szmer. Rozszerza się szpara. Za ledwie dostrzec można cień wsuwającej się ręki.

Chwieje się jeszcze deska.

Potem znów cisza. Najmniejszy szelest nie mać dalekiego szumu puszczy.

Błysnął wreszcie świt.

Na piersiach swoich znalazł Tadek biały, płaski kamyczek, na którym odczytaliśmy ostrem jakimś narzędziem wyryte słowa:

— Nie szukaj złota — tam śmierć...

* * *

Wstaliśmy niezbyt wyspani. Gospodarz czekał już na nas. Pożegnał się z nami, mówiąc, że musi iść

do swych robotników zobaczyć szkody, wyrządzone na plantacji (wskazał przytem ręką stronę przeciwną tej, w którą mieliśmy się udać).

— Interes uważam za załatwiony! Przejdźcie przez bagno wskaże wam Francisco (przyszły mąż Henriki). Czekam na dobre wieści od was. Até logol *)

— Até logol... Até logol..

Znikł wkrótce za drzwiami wraz z drugim kandydatem na zięcia, Fabrycym, przyszłym mężem Anity.

* * *

Przechodziliśmy ponownie przez kładkę nad wezbraną dziś rzeczką. W tem samym miejscu, gdzieśmy ją wczoraj widzieli, stała Henrica.

Patrzyła na nas smutneml, szeroko rozwartemi oczyma.

Zdawało mi się, że oczy te, patrząc, nic nie widzą, że zakrywa je wilgna zasłona wewnętrznego bólu.

Stała nieruchoma. Nie dostrzegł jej jakoś idący szybko przodem Francisco. Natomiast Tadek odwracał się często i przesyłał jej ręką całusa od ust. Zauważyła to wreszcie, ukryła twarz w dłoniach.

Widzieliśmy najwyraźniej przeciekające w dwa rzędy między palcami duże kropelki łez.

* * *

Weszliśmy w puszcze.

) dowidzenia.

Nocna wichura pozostawiła za sobą silne ślady. Co krok zagradzały nam drogę pnie samotnych, kilkusetletnich drzew, gdzie niegdzie całe zwałiska gałęzi, poplątane z sobą lianami w wysoką masę barykady. Torowaliśmy sobie obok nową drogę.

W pewnym momencie zamknął nam przejście taki żywy mur na długo. Po obu stronach świeciła woda trzęsawiska. Nie mogliśmy przeszkody ominąć, trzeba było ciąć drogę przez środek wału.

Było to jeszcze niezbyt daleko od domu Joana.

— Zaraz wracam—szepnął mi Tadek na ucho.— Zaczekajcie na mnie przed wstąpieniem na bagnisko! Wrócę waszym śladem!

I nie czekając na mój protest, ruszył w drogę powrotną. Znikł wkrótce na skrócie. Usłyszałem szybki tupot nóg.

* * *

Przedostaliśmy się na drugą stronę barykady. Pozostało nam jeszcze tylko kilkaset kroków, po coraz to wilgotniejszym gruncie.

Przewodnik nasz przystanął.

— Idźcie prosto tą oto ścieżyną! Zaprowadzi was ona na przejście przez bagno. U wstępu rzucone są kładki. Na mnie już czas, muszę wracać, zbliża się południe...

Pożegnaliśmy go, dziękując za jego trud. Skręcił w boczną drożynę, i po chwili zakryły go krzewy.

Ruszyliśmy we dwóch przed siebie. Co pewien czas przystawałem, oglądając się i nad słuchując.

Tadek nie wracał. Zaczynałem się niepokoić.

* * *

Grunt pod naszymi nogami stawał się coraz wilgotniejszy i miększy. Puszcza rzedła zupełnie. Wreszcie stanęła przed nami szeroka przestrzeń rozlanych wód, pokrytych rojem kęp ze zbitych, wysokich trzcin.

Było to właśnie bagnisko, przez które wiodło jedyne przejście do stóp gór.

Od brzegu do pierwszej kępy trzcin przerzucone były dwa cienkie pnie palmy, potem dalej do drugiej kępy, znacznie większej, zupełnie zarosłej trzciną, za którą nie mogliśmy już dojrzeć dalszej drogi. Pierwsza kładka opierała się o olbrzymi pień, zwalony tuż przed kępą trzcin i wystający obok niej jednym końcem. Resztę pnia załazało bagnisko.

Na brzegu nie było na czym usiąść, a trzeba było czekać na Tadeka. Postanowiliśmy więc przejść po kładce na pierwszą kępę. Wystający pień zapewniał dobrą ochronę przed wilgocią.

Wstąpiłem na kładkę pierwszy. Cienkie pnie gięły się pod mną i nurzały w wodzie, brnąłem jednak dalej, postępując zwolna, krok za krokiem, i uważając, aby nie zrobić fałszywego ruchu, co groziło zimną kąpielą w brudnym, cuchnącym zgnilizną bagnisku.

Już tylko kilka kroków dzieliło mnie od pnia.

Gdzieś na bagnisku zagruchotał cicho gołąb. Przypomniała mi się przestroga przyjaciela, Jednym skokiem znalazłem się na pniu.

Staliśmy chwilę, nad słuchując... Szeleściły trzciny jednostajnie...

Usłyszeliśmy nagle wyraźny rechot żaby... jeden... Wreszcie przeraźliwy wrzask bigua.

Na kładkę wskoczył Stach. Pewniejszemi już ruchami posuwał się szybko naprzód. Jeden krok jeszcze dzielił go ode mnie. Wyciągnąłem rękę, aby mu pomóc.

* * *

Cichy trzask.

Jeden pień kładki nie wytrzymał ciężaru. Straciwszy równowagę, Stach osunął się w bagnisko. Ręce nasze były jednak już tak blisko siebie, że splotły się w silnym uścisku. Upadłem na pień.

Ponad naszymi głowami przebiegł cichy jęk. O kilka kroków od nas wryła się w bagno długa, cienka strzała, puszczone z łuku silną ręką.

Podniosłem się szybko, ciągnąc za sobą Stacha. Padliśmy obaj na ziemię między pniem drzewa a kępą trzcin.

Byliśmy w ten sposób zasłonięci z dwóch stron.
— A więc przydałem się na coś—szeptał Stach.
Gdyby się kładka pod mną nie złamała, gdybym

nie wleciał w wodę... brr... właściwie w błoto, byłbyś się i ty nie schylił... A jednego z nas ta strzała przedziurawiłaby na pewno... na wylot... Ciekaw jestem, czyj to żart?...

Pochyliłiśmy znowu głowy. Z ostrym świstem przebiegła nowa strzała i padła w błoto tuż za pniem.

— Hml... To wcale nie żarty!... To w nas mierzonol... Tam!... Patrz!... Z tej drugiej kępy!...

Nie zdążyliśmy jeszcze zasłonić się dobrze plecakami, gdy rozległ się nowy świst. W plecaku utkwiała strzała, wypuszczona od strony ładu.

— A więc z dwu stron!... Miał rację Josél... Zaczęło się polowanie na nas!...

* * *

Wydobyłem strzałę. Ostrze jej stanowiła zębiona kość, w której wgłębieniu świeciła biała masa.

— Patrz!... Zatruta!... O żartach niema mowy!

Przygotowaliśmy dubeltówkę.

— Pilnuj brzegul... Ja wezmę kępe!...

Nowy świst od strony ścieżyny, którą przed chwilą przybyliśmy. Strzała otarła się o czapkę Stacha. Przywarliśmy do ziemi, wyęzając wzrok i słuch.

Zdawało mi się, że wśród trzcin drugiej kępy dostrzegam białą plamę. Nie opuszczałem powiek. Mierzyłem długo.

Poruszyło się sitowie, wysunęła się z głębi strzała i—świszcząc—przepadła w bagnie tuż za nami.

Pocłagnałem za cyngiel.

Kilka trzcin opadło — przeciętych kulą — w naszą stronę. Coś w bagnie zabulgotało. Biały punkt znikł.

Tymczasem od strony brzegu padała strzała za strzałą. Zahuczwała dubeltówka Stacha.

— A! Bestjo!... Chyba będziesz miał dosyć!... Trafiłem na pewno!... To ten zbój!... Ten przyszły mąż Anity... Fabricio... czy jak go tam djabli nazwali... Widziałem go dobrze... Już nie wypuści strzały!... Kanaj!...

Chciał się podnieść, przycisnąłem go siłą do ziemi

— Leż cicho! Nie zapominaj o trzecim!

Mineło kilka chwil. Baliśmy się wychylać głowy. Z trudem wstrzymywałem Stacha, zrywającego się ustawicznie.

* * *

Od strony puszczy doszedł nas nagle odgłos strzału.

— Bożel... To Tadek!... Czy mu się co złego nie stało?...

Zerwaliśmy się na równe nogi.

Staliśmy długo bez ruchu, wsłuchani w zbliżający się hałas.

* * *

— Halol... A gdzie wy?... Halol...

— To Tadek!... Halol... Halol...

Biegnął wielkimi skokami, tuż za nim sunął powoli Josél.

— Ha! ha!... Więc żyjecie?... Niech was uściskam!... Pyszne polowanie!... Wyborna zwierzyna! Brawo!... Brawo!...

— Stój! Kładka zepsuta!

Wstrzymałem go, chciał bowiem dostać się do nas. José odszedł, milcząc, kilka kroków w bok, wprawdą uderzeniami noża ściał wysmukłą palmę, wspólnie z Tadkiem przerzucili ją do naszej kępy.

Przebiegliśmy w kilku skokach i wpadliśmy wprost w objęcia Tadka i milczącego wciąż, a jednak uśmiechającego się przyjaciela.

— No! Więc jak to było? Mówcie, tylko szybko, bo umieram z niecierpliwości!

Opowiedziałem mu w krótkich słowach przebieg całego zajścia. Gdy wspomniałem o drugiej kępie, Tadek, nie namyślając się, wbiegł na kładkę, potem na drugą i znikł w gąszczu trzciny. Po chwili wrócił.

— Ani żywej duszy! Wydeptane miejsce. Na ziemi ten oto łuk, pęk strzał!... A drugi?

Poszliśmy za Stachem.

Za jednym z pni znaleźliśmy również tylko porzucony łuk obok kałuży krwi. Poza tem ani śladu.

— Więc uciekł!... Nie zabiłem go!...

Stach wyszeptał to jakby z żalem.

* * *

— A teraz, Tadku, co ty porabiał?

— Jwi święch mówi José! On wie lepiej!

— Jc Wrsłuchamy!

José :a gnał raz, drugi.

— Hn^{ka}. To było tak!... Widziałem was czterech, a przedtem dwóch... Jeden wszedł na bagno... Drugi schował się na brzegu... Potem widziałem, jakeście przeszli...

— To tyś krzyknął jak gołąb?

— Niel... To był prawdziwy gołąb!

— Więc żaba?... Bigua?...

— Tak!... To ja!... Potem pobiegłem za Tadkiem, bo on był sam, a was dwóch... Widziałem, jak Tadek... Tadek zakrył mi usta dłonią.

— Milcz! To ja sam opowiem! Ty mów dalej!

— Dobrze!... Więc Tadek pędził już z powrotem... szybko... bardzo szybko... Usłyszał huk waszych strzelb... Skoczył naprzód jak dziki osioł... Potem potknął się... I upadł... Potem zerwał się... I „prostował” kolano...

Tadek schwycił się za nogę.

— Aha!... Prawda!... Toć to ja się przecież potłukłem!... Ale ty mów dalej!...

— „Prostował” kolano... A niedaleko za drzewem stał Francisco... I mierzył do Tadka z łuku... Potem ja strzeliłem... Potem obaj z Tadkiem przywiązaliśmy Francisca do drzewa... Aby pamiętał polowanie na ludzi...

Rzuciliśmy się na pocziwego przyjaciela, aż stęknął od uścisków.

— Dajcie spokój!... Chodźmy stąd!... Do wieczora niedaleko!... Ja was poprowadzę... Bliższą drogą... Suche skały... Przenocujemy...

Ruszyliśmy za nim bez wahania.

* * *

W jakieś trzy godziny potem stanęliśmy na brzegu oceanu.

O wysokie skały obijały się fale, pieniać się i sycząc złośliwie, Zachodzące słońce barwiło je na czerwono.

— Patrzcie!... Jak krew!... Wszędzie krew!...

Stach odwrócił szybko oczy.

— Nie gadaj tyle bzdur—burknął Tadek.—Postrześlił jakieś tam bydło i już robi tragedję. Nie bój się! Jeszcze ci to zwierzę może dokuczyć!

— Pfu!—José splunął ze złością.—Słońce zachodził.. Obyś w złą nie wypowiedział godzinę!... To nie-dobry czas!...

José zaprowadził nas pod nadbrzeżne skały. W jednym miejscu głębokie wgłębienie tworzyło wyborne schronisko.

Przed nami, z pod stóp prawie aż hen, po kres widnokregu—ocean. Dokoła, kilometr, dwa—puste wybrzeże. Potem puszcza i góry. Na lewo, woddali, widny ze szczytu skały jak na dłoni—dom Joana.

* * *

Tadekowi świeciły się oczy. Co chwila spoglądał na słońce. Wreszcie, gdy już za jaką godzinę miało się skryć za góry, pokręcił się niespokojnie wokół... i znikł za skałą. Zobaczyliśmy go wkrótce, jak biegł niemal w stronę domu Joana.

Naznosiliśmy stopy mchu, suchych gałęzi. Przygotowaliśmy wygodne cztery łóża, zapaliliśmy duży ogień.

José czatował tymczasem na skraju puszczy.

Słońce skryło się za góry.

Zmrok zapadał szybko. Ocean szerniał, osnuły go lekkie mgły. Woddali świeciły jeszcze fale jasną smugą.

Wreszcie nastąpiła noc, ciemna, cicha.

Nadszedł José, dźwigając na barkach małą sarnę. Pomogliśmy mu w ćwiartowaniu.

Tadek nie wracał.

— Do diabła!... Jeszcze wpadnie w jaką dziurę!... Mało mu było?!...

Podniosłem się, wstrzymał mię José:

— Siedź!... Tadek wrócił!... Nie sam!... Przypro-wadzi Henrikę...

— Skoczyliśmy jak ukąszeni,

— Co?... Jak?... Kto ci powiedział?... Mów!...

José wyjął fajkę z ust.

— Dlaczego skaczecie?... Jak żaby po deszczu?... Rzekłem!... Przygotujcie piąte łóżel!... Potem wam opowiem!

Nie ruszaliśmy się z miejsca, nie wierząc. José więc sam odsunął na bok jedno z naszych legowisk i w najdalszym zakątku wgłębienia, najlepiej zasłoniętym od podmuchów wiatru, narzucił wysoki, równy stos mchu. Resztę odrzucać począł daleko.

Zrozumieliśmy, że nie żartuje. Pomogliśmy mu, i w kilka minut praca była skończona. Oprócz wielkiego ogniska na skraju wgłębienia, wzdłuż którego — od ściany do ściany — rozłożyliśmy cztery legowiska, roznieciliśmy jeszcze jeden ogień w środku, przed piątem, największym.

Wraz z lekkim dymem rozchodzić się począł tymczasem rozkoszny zapach przypiekającej się sarniny.

* * *

Zaskrzypiał w ciszy nocnej nadbrzeżny piasek. Przed ogniskiem stanął Tadek, trzymając za rękę wylekłą, wahającą się Henrikę.

Zbliżyliśmy się do nich.

— Przedstawiam wam Henrikę, moją przyszłą żonę.

Milczeliśmy długą chwilę. Wreszcie z trzech zdrowych piersi wydarł się wrzask:

— Hura!... Hurall!...

Porwaliśmy Tadka na ręce i obnieśli wokół ogniska.

Podszedłem do Henriki.

— Witaj nam i bądź wśród nas wesola! Ośmioro oczu, tyleż uszu i rąk stać będzie dziś na straży twego spokoju. Tem bardziej witaj nam, że wybrany został przez ciebie nasz przyjaciel, urwis zresztą i pędziwiatr „pierwszej sorty“... Nie wątpię jednak, że okaże się godny ciebie... W przeciwnym razie będzie miał do czynienia z nami trzema... A gdyby cię kiedy nie usłuchał, bierz harap i... bij... jak muła!...

Mówilem, nie patrząc jej w twarz. Pamiętałem dobrze pierwsze wrażenie.

Stach opowiedział mi potem, że przy ostatnich moich słowach lekki uśmiech zabarwił usta Henriki.

Porwali ją też zaraz moi towarzysze z krzykiem wesolym i wiwatowaniem przed ognisko i... rozpoczęła się wesola uczta.

Kawały pieczeni znikwały z przerażającą szybkością w naszych pustych żołądkach. Wydobyliśmy resztki wina z manierek.

Trzaskały dowcipy niby suche żdźbła taquary*) w płomieniach ognia.

Starannie unikałem spojrzenia w jej twarz. Nie chciałem sobie mącić wesela.

Była już późna noc.

Wskazaliśmy Henrice jej łożę, sami zaś legliśmy przy ognisku, jeden obok drugiego, kończąc wino i dymiąc z fajek.

*) czytaj: takuara—trzcina-sitowie.

Tadek począł opowiadać szeptem:

— Otóż, moi drodzy, teraz wam opowiem rzecz ciekawą... Gdym was opuścił, miałem zamiar spotkać się z Henriką. Stała rzeczywiście w tym samym wciąż miejscu, nieruchoma niby głaz. Podszedłem na krok—nie zauważyła. Przemówiłem... Krzyknęła z przestachu... Potem rzuciła się ku mnie.

— Gdzie twoi przyjaciele? Mów! Czy zginęli?

— Uspokajałem ją, zapewniając, że wam nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Napróżno. Twierdziła, że podsłuchiwała rozmowę Joana. Zapytałem, dlaczego zdradza swego ojca. Wyznała, że Joan nie jest jej ojcem, a wujem tylko, że nie ma już ojca, ani matki. Ojciec zginął w puszczy, matka umarła na okręcie. Ublagałem ją, żeby uciekła ze mną z tego zbrojnego gniazda. Umówiliśmy się, że się spotkamy o zachodzie słońca. Jak wiecie — wyszedłem przed zachodem, Nadbiegła przerażona. Opowiedziała mi, że Joan, Francisco i Fabricio wrócili dopiero co z puszczy, strasznie pokrwawieni. Odgrażają się, że rano ruszą za nami, zwoławszy wszystkich kabokli... To wszystko. A teraz radźcie! Co nam trzeba robić? Czekać tu świtu, czy ruszyć w drogę zaraz? I w którą stronę?

* * *

Popatrzyliśmy na naszego przyjaciela. Leżał spokojnie, paląc fajkę. Uczuwszy nasz wzrok na sobie, chciał powstać.

— Josél... Został... Na ciebie tylko liczyłem
Gryzł długo fajkę w zębach.

— Ano!... Stało się!.. Rada jest tylko jedna...
Czekajcie tu!.. My we dwóch — wskazał przytem na mnie — wyjdziemy na chwilę... Wrócimy za godzinę, dwie... Gdy usłyszycie strzał, niech jeden z was zgaśi ognisko i schowa się z Henriką... ot... tu... nad samą wodą... A drugi niech biegnie wzdłuż brzegu cicho, dobrze słuchając... Dopóki nie krzyknemy, co ma dalej czynić...

* * *

Wstałem bez słowa protestu. Nabiliśmy strzelby i ruszyli w mrok.

Nie rozumiałem planu, nie wiedziałem, do czego José zmierza, ufałem mu jednak bezgranicznie i nie pytałem go o nic nawet wówczas, gdy spostrzegłem, że idziemy w stronę domu Joana.

Jose szedł pierwszy, ja tuż za nim. Od czasu do czasu przystawał nagle, nad słuchując.

Doszedliśmy wreszcie do miejsca, w którym rzeczka wpadała do oceanu. Nieco wyżej, po drugiej stronie, wyciągnięte na brzeg i ukryte pod dachem olbrzymiej szopy leżały łodzie Joana.

José wszedł w wezbraną rzekę, ja za nim bez słowa protestu. Zapadaliśmy często po uszy. Przebrnęliśmy jednak.

Cicho, ostrożnie ściągnęliśmy jedną z łodzi na wodę.

Wskoczyłem, ujmując wiosła.

José wrócił jeszcze do szopy, pozbiierał wszystkie wiosła, złożone na jeden stos, i puścił je z prądem rzeki. Potem przyniósł kilka zwiniętych żagli.

Podziwiałem go w milczeniu. Czynił to wszystko, w celu uniemożliwienia pościgu, cicho, bez najmniejszego szmeru.

Złożywszy żagle na dnie łodzi, wrócił jeszcze raz.

Usłyszałem jakieś szamotanie, przywiązałem łódź do słupa, skoczyłem za nim.

Stał pochylony, patrząc w ziemię.

Podbiegłem.

U nóg jego leżała bez ruchu mała, zwinięta w kłębek Anita. Obok leżał ostry nóż.

Skoczyła na mnie z tyłu... Chciała mię przedziurawić nożem... Żmija!... Rzuciłem o ziemię... Omdlała..

Pociągnął mię ku łodzi. Ruszyliśmy całą siłą dwóch par wiosel.

Od oceanu szedł lekki podmuch wiatru. Było już dobrze po północy. Odplynąwszy daleko od brzegu, rozpięliśmy żagle. Łódź pomknęła szybciej. Ślizgaliśmy się lekko po powierzchni fal i już po godzinie dostrzeżyliśmy ognisko.

Podplynęliśmy do brzegu. Towarzysze nasi czuwali. Przenieśliśmy do łodzi śpiącą Henrikę i ułożyli na przygotowanym z żagli posłaniu. Trzech ujęło wiosła, José stanął przy sterze.

Płynęliśmy cicho w mroku nocy.

* * *

O świcie byliśmy już w Antoninie*). Wynajęliśmy muły i skierowaliśmy się do swoich siedzib.

José wrócił pieszo do swego szałas. Umówiliśmy się, że za rok przybędziemy znowu do niego na polowanie, Żegnaliśmy go ze łzami w oczach.

* * *

Przygotowania do ślubu Tacka z Henriką trwały przeszło pół roku. Trzeba było urządzić gospodarstwo. Pomogliśmy im w założeniu plantacji bananów, zasiałiśmy ryż...

Potem ruszyłem wraz ze Stachem na roboty.

Rok minął szybko, zakwitły pomarańcze. Trzeba było spełnić przyrzeczenie, José czekał na pewno z niecierpliwością.

Nie chcieliśmy młodemu małżeństwu psuć szczęścia pierwszych dni, wybraliśmy się więc tylko we dwóch.

Już dwa tygodnie przedzieraliśmy się przez puszcę. Pozostał nam jeszcze jeden dzień drogi.

Postanowiliśmy zrobić naszemu przyjacielowi niespodziankę. Wstrzymaliśmy się już niedaleko, w miejscu, z którego szałas jego widzieliśmy doskonale, chcieliśmy bowiem zaczekać, aż wróci na noc, i

*) Drugi obok Paranaguá, mały port w stanie Paraná.

potem dopiero, już po zachodzie słońca, w głuchą noc zastukać do drzwi.

Ukryci dobrze w gąszczu, nie spuszczałyśmy z oka jego skromnego szalasu.

Słońce chyliło się szybko ku zachodowi.

* * *

Tuż przed nami zamajaczył nagle jakiś cień, przepłynąwszy obok nas bez szelestu.

Z przerażeniem rozpoznaliśmy Anitę.

Nie szła, a ślizgała się nieuchwytnymi ruchami wśród pni drzew, cicho, bezszelestnie.

José wrócił tymczasem z puszczy. Widzieliśmy, jak znikł w szalacie. Potem wychodził coś dwukrotnie. Wreszcie przez otwory dachu przedostawać się począł dym. José przyrządzał sobie wieczerzę.

Szliśmy śladem Anity.

Zobaczywszy strzelca, przywarła do ziemi, skurczyła się, ściągnęła do potwornie małych rozmiarów. Kryjąc się za drzewa, sunęła niby żmija w stronę szalasu. Zapatrzona weń, nic nie widziała, nic nie słyszała. Skradaliśmy się za nią śmiało.

Tuż przed szalatem powstała z ziemi, unosząc się powoli. Stała z boku, przy wejściu. W wyciągniętej dłoni zalśniła stal długiego noża.

Podsunęliśmy się na kilka kroków. Potem jeden skok.

Anita ujrzała przed sobą lufy dubeltówek, wy-

mierzone wprost w jej pierś. Wydała cichy, lecz przenikliwy jęk.

Z szalasu wypadł José. Podszedł do Anity, stojącej wciąż bez ruchu z podniesioną do góry ręką, nagle szarpnięciem wyrwał jej z ręki nóż.

Porwaliśmy go w objęcia.

— To już drugi raz ta żmija poluje na mnie... Dziękuję wam... Tym razem mogła mię ugodzić... Chytre to stworzenie!

Tymczasem Anita skoczyła w stronę oceanu. Rzu- ciliśmy się za nią.

Brzeg był w tym miejscu skalisty, wysoki, stromy. Kilkanaście metrów. W dole bezdenne głębia.

Nie zdążyliśmy dobiec. Anita stała już na samym brzegu. Jeden skok—a wpadnie w przepaść.

Wstrzymaliśmy się.

Na tle lśniących ostatnim blaskiem wód zamajaczyła postać Anity, cienka, wysoka, coraz wyższa. Zachwiała się, okręciła wokół siebie, wydłużyła. Potem cichy jęk, syczący, złośliwy. Postać rozplynęła się w mroku.

Rzuciliśmy się naprzód. Usłyszeliśmy głuchy bulgot wody. Spojrzeliśmy wdół.

Kilka szerokich kręgów. Nadpłynęła fala, rozbiła się o skały.

Biała piana pokryła grób Anity.

* * *

Milcząc, wróciliśmy do szalasu. Wszyscy trzej nie mieliśmy humoru.

Ciszę przerwał José:

— Dziwne to musiało być stworzenie... Jak nie człowiek... nie kobieta.. Złośliwe, ponure... Może nie ze swej winy... Milcząca, skryta 'w sobie, uważała nas za swych śmiertelnych wrogów... Nie mogła dosięgnąć was, byliście bowiem za daleko, odszukała więc mnie... Nie osiągnąwszy celu, gdy on był już tak bliski, wołała śmierć, niż urągowisko zwycięzców... Skończyła jak żmija.

* * *

I na drugi dzień nie odzyskaliśmy humoru. José milczał uparcie. Pożegnaliśmy go więc i ruszyli w drogę powrotną.

Wstąpiliśmy po drodze do Tacka. Witął nas, skacząc z radości jak warjat.

Wyszła również na nasze spotkanie jego żona, Henrica.

Na pierwszy widok zimny dreszcz wstrząsnął mną jakby w febrze. Przypomniałem sobie nagle wszystko.

Przedemną stał żywy portret mojej znajomej z Rio de Janeiro.

Przecierałem oczy, nie wierząc samemu sobie. Opanowałem się wreszcie i z zadowoleniem spostrzegłem, że mojego zdumienia nikt nie zauważył. Straciłem jednak humor doreszty.

Opowiedzieliśmy Tackowi na ucho historję Anity. Tłumacząc się niedyspozycją, pożegnałem go na zajutrz. Przrzec jednak musiałem, że najdalej za miesiąc odwiedzę go znowu.

Żegnając się z Henriką, nie patrzyłem na jej twarz.

Nie spełniłem danego Tackowi przyrzeczenia. Losy moje zagnały mię daleko na południe, do Rio Grande do Sul, potem do Argentyny, Patagonji. Zawsze z miejsca na miejsce, coraz to gdzie indziej. Po roku dopiero wróciłem do Parany i zatrzymałem się na dłużej dla odpoczynku w Porto de Cima.

* * *

III

DZIEWCZĘ Z DZIEWICZEJ PUSZCZY

Porto de Cima jest rzeczywiście jakby portem wzgórz.

Mała miścina o starych, pamiętających lepsze czasy, niskich, obszernych domach, leżąca u stop góry Marumb'y, najwyższej w łańcuchu Serra do Mar.

O kilka kroków na zachód — strome pasmo gór, pokryte lasem, poprzecinany tu i ówdzie na skraju ścieżkami myśliwych, przeważnie jednak stanowiącym dziewiczą, nietkniętą jeszcze stopą ludzką puszcze. Od wdrapywania się na szczyty za obfitą zwierzyną powstrzymywały nawet najśmielszych, najmniej zabobonnych strzelców opowiadania o „bogini leśnej“, „królowej puszczy“, mszczącej się nieubłaganie na śmiałkach, naruszających jej spokój.

Na wschód — bagnista równina aż do oceanu, żyzna, lecz malaryczna. Tylko tubylcy mogli wydzierać ba-

gnom małe działki, na których bujnie wyrastała trzcina cukrowa i banany — bogactwo tych okolic.

Wrzynano się wprawdzie coraz głębiej w góry; ostrożnie, zwolna posuwano się w głąb puszczy, obalając olbrzymie drzewa i sadząc na pierwotnym gruncie banany, manjok i kukurydzę, szczyty jednak, spokojne i groźne, strzegły nadal zazdrośnie swej tajemnicy.

* * *

Napróżno usiłowałem zgromadzić kilku przynajmniej ludzi, aby zrobić wyprawę w góry. Nie nęciła nikogo obietnica równego podziału zdobyczy i — ewentualnie — skarbów jezuickich (o których legendy krążyły z ust do ust) ani wreszcie pokrycie kosztów wyprawy i dziennego, wysokiego wynagrodzenia.

Częstowany „kaszasem“, ten i ów godził się narazie, odgrażał Bugrom *), tygrysom i żmijom, nazajutrz jednak, otrzeźwiawszy, znikał gdzieś bez śladu i pojawiał się dopiero wówczas, gdy myśl wyprawy została zaniechana.

Zwróciłem zwłaszcza uwagę na pewnego starego murzyna, Antonia, o którym mi mówiono, że jest znakomitym myśliwym. Miał swoją „ranszę“ **) na zboczu Marumb'y, „ransza“ jednak stała niemal zawsze pustką, Antonio bowiem przebywał całymi tygodnia-

*) najbliższe plemię Indian.

**) szalas.

mi w górach. Zjawiał się w miasteczku raz na dwa lub trzy miesiące, wymieniał skóry zabitych zwierząt na potrzebne mu produkty i znikał znów tak samo niespodziewanie, jak nagle się pojawiał.

Czatowałem na niego długo; schwyciłem go wreszcie, niosącego do wendy kilka skór dzikich kotów, jaguarów i wydr.

Zaczawszy od oglądania skórek, nawiązałem z nim rozmowę, zaproponowałem mu udział w wyprawie w góry. Odmówił również, twierdząc, że chodzi tylko w stronę Marumb'y; na inne szczyty nie pójdzie, tam włada „królowa puszczy”.

Właściciel wendy, zwany Piloto (kiedyś bowiem był podobno sternikiem), u którego Antonio wymieniał skóry, wspaniała typ zbrodniarza, mający też rzeczywiście—jak sobie na ucho opowiadano—śmierć wielu ludzi na sumieniu, wyrażał się o strzelcu z pewną zawiścią. Zdaniem jego, murzyn znalazł widocznie ukryte skarby jezuitów i pilnuje ich w puszczy.

Opowiadaniu temu jednak, oczywiście, nikt nie wierzył.

* * *

Sam więc, uzbrojony w dubeltówkę, browning i „fakon” *), wychodziłem często w las o świcie i wracałem do domu, znużony, dopiero tuż przed nastaniem nocy.

*) długi nóż.

Szedłem zazwyczaj wyciętą przez kabokli ścieżyną tak długo, dopóki się ona nagle nie urywała, dopóki przede mną nie stanął zwarty gąszcz krzewów, trzciny i lian, poplątanych z sobą w nieprzejrzaną ścianę, za którą puszcza stała ciemna, głucha, ponura.

Doszedłszy nieraz dość wcześnie do takiej żywej ściany, dobywałem „fakonu” i ciąłem z uporem na prawo i lewo, aby się wkońcu przekonać, że po kilku godzinach pracy posunąłem się zaledwie o parę kroków.

* * *

Pewnego dnia zastałem drzwi wendy Pilota zamknięte naглуcho.

Koło południa lotem błyskawicy rozeszła się po chatach wieść, że dwaj synowie Pilota znalezieni zostali w puszczy martwi na dnie przepaści, obok „Kaskady małp”.

Szeptano sobie znów pocichu o zemście „królowej puszczy”.

Nie upłynął tydzień, aż tu nowy zgiełk i alarm, Piloto wyszedł onegdaj w góry i nie wrócił.

Zebrało się kilku odważniejszych—poszli szukać. Przyłączyłem się do nich i ja.

Błądziłszy po lesie trzy dni. Wreszcie znowu niedaleko „Kaskady”, znaleźliśmy zimne zwłoki Pilota skurczone, oparte o pień drzewa.

Na twarzy zastygł wyraz straszliwej trwogi.

* * *

Nadzieja zorganizowania wyprawy zgasła zupełnie. Nikt nie odważyłby się pozostać w puszczy po zachodzie słońca.

Po dłuższej pogodzie postanowiłem wreszcie spróbować wdrzeć się sam w góry korytem rzeki, spadającej ze szczytów kilka metrów nieraz wysokimi schodami, sączącej się wąską strugą w czasie suszy, lecz huczącej wezbraną falą wód po burzy.

Koryto rzeki tworzyło głęboki, chłodny kenjon niby tunel; rosnące po obu stronach, na wysokich brzegach drzewa spletały się często swemi koronami w ciemny sufit.

Skacząc z kamienia na kamień i wspinając się po ścianach wodospadów, posuwałem się z wolna w górę.

Z pod nóg prawie usuwały mi się różne zwierzęta i ptaki, szukające tu schronienia przed żarem południowego słońca. Wybałuszywszy zrazu przerażone ślepia na nieznanie sobie jeszcze stworzenie, znikwały następnie w wodzie lub puszczy. (Przyrzekłem sobie uroczyście powrócić tu w najbliższej przyszłości wyłącznie w celu zapłodnienia).

Odoczywałem często. Spoglądałem wówczas wdół, na przebytą drogę. Wodospad za wodospadem, coraz niżej i niżej aż wreszcie tunel zamykał się — hen, wdole — czarną ścianą.

Jasne fale promieni słońca, przedzierające się tu i ówdzie przez sklepienie drzew, dodawały mi otuchy w tej beznadziejnej samotności.

A cisza aż dźwięczała. Jedynie od czasu do czasu ucho z radością podchwytywało donośny, nieraz z odległości kilku kilometrów dochodzący głos białej „arapongi“ (podobny do odgłosu, powstającego od uderzeń młotem przy przecinaniu stalowej szyny).

* * *

Noc przesiedziałem, podsycając ustawicznie ognisko, opalające zgrab bazaltowej ściany kenjonu.

Cicho szemrała woda, z puszczy dochodziły to przeraźliwe jakieś jęki, to znowu śmiechy i głośnie wycia. Nagle wszystko milkło. Zdawało mi się, że oto jestem sam na olbrzymim cmentarzysku. Potem znów szmery, stękania i piekielne wrzaski. Mieszkańcy puszczy toczyli z sobą bój.

Pierwszy raz w mojem życiu doznałem rozkoszy „oddechu z ulgą“, gdy błysnął świt.

Posiliwszy się kilku sucharami i kawalkiem „szarki“, *) ruszyłem w dalszą wędrówkę.

Struga wody była coraz mniejszą (nieraz zaledwie się sączyła), kenjon coraz płytszy; brzegi znikły wreszcie prawie zupełnie, i śmiało mógłbym wkroczyć w puszcze, gdyby na przeszkodzie nie stała nieprzebita ściana krzewów.

*) xarque — suszone mięso.

Zbliżał się znowu wieczór. W pewnym momencie spostrzegłem w ścianie tej wygodną wyrwę, ścieżynę (może wydeptaną przez zwierzęta?).

Spojrzałem w głąb. Coś się poruszyło. Gotów do strzału, stałem długo, cały zamieniony w słuch i wzrok.

Odezwała się „araponga“.

Jakby jakąś siłą niewidzialną gnany, począłem się wdrapywać w górę jak szalony.

* * *

Oprzytomniałem nieco, leżąc pod jakimś — jak mi się zdawało — krzewem. Z trudem chwyciłem w płuca powietrze i usiłowałem zmusić pierś do normalnego ruchu.

Jakby przez sen przypomniałem sobie, że przechodziłem brzegiem jakiegoś jeziora, po gładkiej, mchem zrzadka porosłej skale, i wreszcie, niezdolny już ani kroku dalej postąpić, runąłem na mech.

Od tej chwili świat przestał dla mnie istnieć.

* * *

Zmęczony tysiącem nowych wrażeń mózg plątał je w potworne sennie widziadła. Jakieś fruujące smoki, zaczarowane groty, błędne ogniki.

A we wszystkich obrazach jedno i te same oczy, czarne, wyzywające.

Z uporem powracały sceny pamiętnych chwil z czasu mego pobytu w Rio de Janeiro, wyolbrzymione

w jednych, zatarte w innych momentach. Niektóre z nich połączyły się w jeden obraz.

Oto staję się mimowolnym świadkiem zabójstwa. Piękna, jak palma gibka dziewczyna, kwiat z jakiejś oazy w Arabji, zabija i topi swego znajomego, który nie umiał być... jej znajomym. Ona wie o tem, że posiadam jej tajemnicę, i myśląc, że jest agentem policji, usiłuje wyprawić mnie również na tamten świat. Napróżno. Więc ucieka w głąb kraju. Na każdym kroku nowe czyha na nią niebezpieczeństwo. Walczy, jak przystało na córkę władców pustyń. Wreszcie słabnie, waha się. Wpada w głębinę, już, już ma zniknąć. Śpieszę z pomocą...

* * *

Obudziłem się.

Długo przecierałem oczy, nie wierząc samemu sobie.

Zdawało mi się, że leżę w jakimś szalasiu. Pośrodku płonęło ognisko, dym wypływał wąskimi smugami przez szczeliny dachu; całe wnętrze szalasu wyłożone było skórami.

Zerwałem się.

Dotknąłem ścian — stały mocne. Pobiegłem do ogniska — żar od niego buchał.

Schwyciłem broń i rzuciłem się ku wyjściu.

— Dokąd to, mój gościu? Dzieńdobry! Spotykamy się znowu! — odezwał się nagle za mną głos, łagodny, dźwięczący smutkiem i jakby znany.

Sen się sprawdził...

Między rozchyłonymi kotarami stała... moja znajoma z Rio de Janeiro. W męskim ubraniu, buty z cholewami, pas z browningiem i nabojami.

Skurcz zdumienia ścisnął mi szczęki. Milczałem.

Skłoniłem się wreszcie. Oddała ukłon i, milcząco również, podeszła do ogniska, zestawiła kocioł z wrzącą wodą, przyrządziła „chimaron“ i podała mi oddzielną kuje.*)

Piliśmy powoli, obserwując się w milczeniu.

Twarz jej nic się nie zmieniła, tylko jakby nieco pociemniała. I oczy nie błyszczały już tak wesoło, jak dawniej.

— Nigdy nie przypuszczałem, iż jeszcze kiedyś w życiu panią spotkam—przerwałem wreszcie pierwszy. — Co się z panią działo?... Jakim sposobem dostała się pani tu, w tę puszcę?... Czy dawno?... Kto tu jest jeszcze z panią?...

Pytania cisnęły mi się jedno za drugim.

Zdawało mi się, że się lekko uśmiechnęła.

— Aby na to wszystko odpowiedzieć, trzeba wielu, wielu długich godzin. Może wyjdziemy z szałas... na pełne powietrze... Opowiem cośniecoś.

Wyszliśmy. Wąską ścieżyną wprowadziła mnie na najwyższy szczyt skały, pokryty poszarpanymi głazami. Miałem wrażenie, że znajdujemy się na ruinach

*) Naczynie do picia „chimaronu“.

olbrzymiego zamczyska. Wśród głazów usiedliśmy jak we wnękach baszty.

Dokoła widok był daleki. Z jednej strony, na krańcach widnokregu, lśniąca, bezkresna smuga oceanu, a drugiej zrazu lasy, potem stepy i stepy, z trzeciej pasmo gór i puszcza, z czwartej, nawprost nas, już nieco bliżej, widny jakby o kilka kroków szczyt Marumb'y.

Puszcza tymczasem zamilkła.

Żadna gałąź nie drgnęła, żmija nie trąciła zeschniętego liścia, ptak nie zakwilił....

* * *

Popatrzyła w stronę oceanu.

— Zacznę od tego momentu, gdyśmy się po raz ostatni widzieli..

Płomień przebiegł po jej twarzy, odwróciła wzrok od oceanu, spojrzała wdał, ponad lasy.

— Sprzedałam, jak radziłeś, wszystko, co sprzedać było można, jednemu z moich zamożnych rodaków. Zostałam jednak w mieście... Śledziłam cię... Od pierwszej chwili zdawało mi się, że jesteś agentem policji. Przeświadczenie to wzięło się w mój mózg i tak mię natrętnie prześladowało, że postanowiłam zabić cię za wszelką cenę...

Przerwała na chwilę, jakby czekając, co na to powiem, widząc jednak, że milczę, że nie mam zamiaru przerywać jej opowiadania, mówiła dalej.

— Przekonałam się wkrótce, że podejrzenia moje były niesłuszne. Zauważyłam, że i ciebie policja śledzi... Wówczas, obawiając się schwywania, wyjechałam do Kurytyby*) ...Nie wiedziałam, co z sobą robić. Po mieście obawiałam się chodzić (na pewno bowiem były za mną rozesłane listy gończe), wychodziłam natomiast bardzo często poza miasto... W czasie jednej z takich przechadzek spotkałam na drodze do Abranches**) starego murzyna, rozpaczającego nad mułem, który mu padł w drodze. Żał mi się zrobiło starego. Płacząc, opowiadał, że jest strzelcem, samotnym zupełnie; mieszka w małej „ranszy” niezbyt daleko od miejsca, w którym staliśmy; poluje na stepie, zbiera „piniongi“***), skóry i piniongi sprzedaje w mieście, kupuje za to sól, zapalki i proch... Zapytałam go, czyby nie zechciał przejść do mnie na służbę. Przyrzekłam mu kupić drugiego muła, jeżeli będzie pilny... Padł mi do nóg, płakał i skakał z radości. Wzięłam go odrazu do miasta, kazałam mu się ubrać przyzwoicie. Odpoczął kilka dni, nabrał sił i humoru, stał się moim towarzyszem i powiernikiem... Pewnego dnia opowiadał mi o swych polowaniach. Powzięłam pewną myśl. Zakupiliśmy różne rzeczy, niezbędne w puszczy: zapas naboju, zapalek, soli, odcieży, bielizny i t. d., władowaliśmy to wszystko na

*) Stolica stanu Paraná.

**) Czytaj: Abranches. Kolonia polska pod Kurytyba.

***) Owoc sosny „pinus araucariensis“

kilka mułów i ruszyliśmy w góry... Z tej strony, od wyżyny, wdzieraliśmy się przez dwa miesiące. Muły popadały nam w drodze od ukąszeń żmij. Doszły dwa tylko. Nosiliśmy nasze rzeczy na ramionach na odległość dnia drogi... Antonio (tak się zwał mój przyjaciel) odkrył obszerną grocie, wygładził ją wewnątrz, pokrył tkaninami i skórą, urządził mi wspaniałą komnatę. U wejścia zbudował szalaz, który zajął sam, stróżując w nocy u mych drzwi...

Przerwała na chwilę opowiadanie. Wpatrzyliśmy się w cudowny widok oceanu, roziskrzonego, płonącego żarem ostatnich, odbijających się od jego gładkiej powierzchni promieni słońca, zbliżającego się szybko ku zachodowi.

— Pięć lat przeżyliśmy tam w spokoju. Początkowo niebezpieczeństwo groziło nam na każdym kroku; głązy wprost pokryte były żmijami, „aranjami“*) i skorpionami; dzikie koty i jaguary biliśmy codziennie... Mijały dni i miesiące... Marzyłam już o tem, aby tu spędzić resztę życia... Antonio chodził co pewien czas do miasteczka i wymieniał skóry na potrzebne nam rzeczy. Przybywszy do swej chaty (którą dla zamaskowania jego wizyt w mieście nabyłam na zboczach Marumb'y), wywieszał w oknie białą koszulę na dowód odbycia pomyślniej drogi. W razie jakiegokolwiek wypadku czy nieprzewidzianego o-

*) Pająki, zwane „ptasznikami“, jadowite.

późnienia powrotu miał wywieszać koszulę czerwoną. Przez lornetkę obserwowałam z tego miejsca zawsze po jego wyjściu do miasteczka małą chatkę, ciesząc się jak dziecko na widok białego sygnału... I oto pewnego dnia... z przerażeniem dostrzegłam znak czerwony... Nie wierzyłam sobie ni szklom... Rzuciłam się jak szalona na znany mi szlak, wiodący do jego chatki... Wracał... ciężko się wlokąc... Nie chciał mi nic powiedzieć, odkładając do przybycia do szata-su... Doszliśmy z trudem... Dowiedziałam się wówczas, że Piloto wysłał raz za nim dwu swych synów, aby go śledzili... Zauważył ich o zmroku, pozdrowił słowem bożem i zapytał, co robią o tej porze tak daleko w lesie... W odpowiedzi rzucili się nań z nożami... Wywiązała się walka... Antonio, ongiś niewolnik, silny był jak jaguar... Obaj synowie Pilota wpadli w przepaść... Drugim razem Antonio spostrzegł za krzewami samego Pilota... Padł strzał z zasadzki... Kula ugodziła Antonia w pierś... Zginął jednak i Piloto... Męczył się Antonio kilka dni... Wreszcie zasnął, aby się już nie obudzić... Straciłam jedyne go przyjaciela, jedyne go człowieka, jakiego dotychczas w moim życiu spotkałam...

* * *

Umilkła. Milczałam również długą chwilę, wreszcie zaproponowałam opuszczenie chatowni. Poprosiłam ją, aby mnie oprowadziła po swem „królestwie“.

Poszliśmy nad jezioro. Na jego brzegu ubiła z łuku dwie dzikie gęsi. O zmierzchu wróciliśmy do szata-su.

Nad ogniskiem piekliśmy zdobycz. Ogień tlił się zwolna małym płomieniem.

Wokoło nas panowała cisza i ciemność. Z puszczy dolatywały jeno szelesty drapieżnych nóg po skale.

Mówiliśmy o tem i owem. Sen powiek nie kleił.

Z trudem udało mi się ją przekonać, że nie powinna pozostawać w tych górach ani dnia dłużej. Musi wracać — mówiłem — natychmiast do ludzi, do życia. Nie wolno jej ginąć bez śladu...

Umówiliśmy się, że nazajutrz załadujemy, co ma najcenniejszego, na pozostałe dwa muły, pomogę jej dostać się do niezbyt odległego portu, gdzie wsiądzie na statek do Santos, stamtąd zaś natychmiast wyjedzie do Europy...

Powiedziawszy mi „dobranoc“, znikła za kotarą. Ja zaś, podsyciwszy ogień, położyłem się obok ogniska.

Tysiące myśli przewalały się w moim mózgu huraganem, niezliczone projekty, decyzje.. W rezultacie noc spędziłem, nie zmrzywszy oka...

* * *

Odsunęły się kotary... I jej oczy zdradzały również noc nieprzespaną.

— Nie spałam... Miałam straszne myśli... Muszę stąd uciekać... Jak to dobrze, że już dziś...

Nie wyruszyliśmy jednak tego dnia. Zanim się nam udało popakować jedne rzeczy, inne zaś ułożyć w kącie groty i przykryć je gruzami, minął dzień i zapadła noc.

W pustej, odartej z tkanin grocie spać nie chciała. Spoczęła w szalasiu obok ogniska i, okrywszy się grubym pledem, wkrótce zasnęła.

Dokładałem do ognia mchu i gałęzi, aby nie zgasł.

Przez sen mówiła coś, kogoś wołała w obcym, nieznanym mi języku. Nad ranem zasnęła spokojnie.

Obudziło mnie o świcie lekkie dotknięcie w czoło.

Stała obok mnie, wypoczęta, wesół, prosząc do śniadania.

* * *

Schodziliśmy z gór przez całe dwa tygodnie. W ciągu tego czasu obserwowałem ją bacznie.

Zrazu wesół, stawała się następnie codziennie coraz to smutniejszą. Milcząc, kroczyła obok mnie cały dzień i dopiero w czasie nocnego spoczynku, gdy żywo zapłonął ogień, przy którym piekliśmy ubitą po drodze zwierzynę, budziła się z zamyślenia, opowiadała wesół o swych planach na przyszłość: — Wsiądzie na statek, dojedzie do Marsylii, potem do rodzinnych stron, może tam znajdzie kogo z krewnych... Albo nie! Pojedzie do Paryża, potem do Włoch, osiadzie gdzieś w chatce rybackiej i patrzeć będzie na wodę... Albo też...

Codziennie miała inny plan, coraz to była smutniejsza, nocie spędzała niespokojnie, budząc się często...

Wreszcie zbliżyliśmy się do skrajów lasu. Za kilkanaście godzin mieliśmy wejść na wygodną drogę z Kurytyby do Antoniny — t. zw. „Graziosę“.

* * *

Miał to być ostatni już nocleg w lesie.

Wiedziałem, że była niespokojna. Milcząc, siedziała obok ogniska. Dostrzegłem w jej oczach łzy, udałem jednak, że nic nie widzę.

Ona również usiłowała je ukryć, lecz na próżno. Wreszcie wybuchła gwałtownym, tłumionym płaczem.

Widząc, że długo się nie uspokaja, przysunąłem się bliżej, wziąłem ją za rękę.

— Dlaczego pani płacze? Proszę spojrzeć spokojnie... Za kilka godzin będziemy wśród ludzi... Wyjedzie pani dziś, jutro, opuści ten dziki kraj, dobry dla charakterów surowych, brutalnych, lecz nigdy dla kobiet... Wśród ludzi znajdzie pani godnego siebie człowieka-mężczyznę, towarzysza życia... A życie tam inne, myśl inna... Dlaczego więc płakać?..

— Ha! ha! — zaśmiała się w głos przez łzy. — Czy pan w to wierzy?... Mężczyzna... kobieta... człowiek!... Może miłość?... Szczęście?... Gdzie miłość?... Gdzie człowiek?... Są... ale w idei... W rzeczywistości zaś — samce i samice, nienawiść, wzajemne pożeranie się,

rozpacz i ból... Może są i ludzie... Widziałem nawet coś... niby-ludzi... Ale ci albo odeszli ode mnie — jak Antonio, albo uciekli przerażeni, albo wreszcie odeszli spokojnie, odprowadzając mnie jeszcze na statek, pomagając w kupnie biletu, wysyłając w świat, czyniąc wszystko, aby się mnie pozbyć... To... niby-ludzie... A reszta?... Zwierzęta, dziksze od jaguarów, głupsze od mułów, bardziej zbrodnicze od żmij... Samce... samice... I nic więcej!...

Odychała szybko, wzburzona.

— Przepraszam, już jestem spokojna. Odjadę. Drogi nasze zapewne już się nie zejdą. Sądziłam, że jesteś człowiekiem. Jesteś głazem z pod śniegów północy, zimniejszym niż lód. Odjadę, aby szukać człowieka—przypuśćmy... A jeżeli nie znajde?...

Popatrzyła pytająco.

— Znajdzie pani na pewno! Trzeba jeno wierzyć i... być wyrozumiałą...

— Otóż to — przerwała. — W tem właśnie zagadka! Zbliży się ktoś do mnie, śpiewać będzie swe pieśni miłosne — ja mam mu wierzyć!... Obrzuci mnie błotem, sponiewiera gestem, słowem, czynem — mam mu przebaczyć!... Mam być wyrozumiałą na głupotę, zarozumiałość, nędzę moralną, podłość!... Niel... Szukać nie będę, gdyż nie znajdę!... A gdybym nawet znalazła, to wówczas „on“ odejdzie, nie spojrzawszy nawet na mnie... Albo odprowadzi mnie do portu

i wysię w świat na poszukiwanie człowieka, szczęścia!... Niel... Niel... Jeszcze raz niel...

Ukryła twarz w dłoniach, przywarła do ziemi.

* * *

Aluzja była zbyt wyraźna, nie mogłem milczeć. Usiłowałem nadać rozmowie inny ton.

— Czy pani ma pewność, że istota, która odprowadza panią do portu, nie jest również zwierzęciem, samcem, jak inne? A może ona udaje tylko człowieka? Może ona gorszym jest zwierzęciem niż inne? Gdzie pewność?...

Zerwała się, spojrzała przerażona. Mierzyliśmy się długo wzrokiem.

— Niel... Wobec zwierząt ludzkich czuję lęk... Dziś jestem spokojna... To mi daje pewność...

Oparła swoją głowę o moją pierś.

Dotknąłem ręką jej czoła — paliło jak ogień.

Przymknęła oczy.

Zaciąłem zęby.

Minęło piekielnie długich kilkanaście minut. Sądząc, że zasnęła, chciałem głowę jej złożyć wygodniej na skóry.

Objęła mnie gwałtownie rękoma, przylgnęła wargami do mych ust...

Wyrwałem się z trudem...

W ustach uczulem słony smak krwi...

* * *

Ognisko przygasło. Krótkie płomienie czołgały się po gałęziach. Żarzył się węgiel.

Rzuciłem garść mchu i kilka suchych gałęzi. Objął je wkrótce płomień, jeden, drugi, podskoczył figlarnie w górę, snując łagodną wstęgę dymu. Wreszcie ognisko zajaśniało żywo, rzucając na jej głowę migotliwe blaski.

Usiadła.

Szeroko rozwarte oczy wlepiła w ciemną ścianę puszcy, ręce wyciągnęła przed siebie, jakby się broniąc przed czymś nieznanym...

— Boję się!... Tak mi jakoś straszno!... Zdajemy się, że oto ode mnie ucieka szczęście... Tak szybko... szybko... To mignie tu, to tam... Coraz dalej... Gonię go... Już, już mam chwycić... Nie mam sił!...

Skoczyłem do naszych pakunków, dobytek manierkę z winem, wsypałem nieco proszku chininy.

Odepchnęła manierkę. Ująłem ją silniej za ręce, zbliżyłem manierkę do jej ust.

Odchyliła głowę wstecz.

— Proszę pić! Gorączka w lesie, to śmierć!

— Chcę śmierci!

— Doorze! Pomówimy o tem jutro! Teraz trzeba pić!

I nie pytając, przysunąłem manierkę do jej ust. Zakrzuszyła się.

Znowu wlałem kilka łyków. Opierała się. Przechyliłem mocno głowę. Wypiła wszystko.

Okryłem ją szczelnie pledem, odsunąłem się o jakie dwa kroki i usiadłem przy ognisku.

Dołożyłem gałęzi, Płomienie rzuciły się na nie skwapliwie, objęły wokoło. Z trzaskiem buchnął ogień jasny, duży, wesoly...

* * *

Bałem się na nią spojrzeć. Nie byłem pewny działania chininy. Jeżeli gorączka wzrośnie, nadejdzie atak febry?... Była zmęczona, osłabiona... Co zrobić?... Czy potrafię dotrzeć z nią do miasteczka?...

Zagotowałem wodę, przyrządziłem herbatę i dopiero wówczas spojrzałem.

Leżała z oczyma, zwróconymi w moją stronę. Gorączkowy ich blask znikł, patrzyła spokojnie.

Podąłem jej kubek herbaty, wysypawszy uprzednio jeszcze nieco proszku chininy. Wypiła wszystko, prosiła o drugi kubek.

Uspokoilem się. Atak febry był zażegnany, gorączka minęła.

Rozpaliłem jeszcze większy ogień i usiadłem obok niej.

* * *

Ciągnęły się znowu minuty, długie, przewlekłe, ponure.

Puszczą milczała głucho. Ciszę przerywało wesołe trzaskanie ognia.

Otworzyła oczy. Gdzieś w głębi ich miotwały się błyski, zalewane wilgotną powłoką łez.

— Tak!... Stało się!... Za kilka godzin będziemy już między ludźmi... Lecz nie będę szukać człowieka!... Nie znajdę!... Niema ich na ziemi... Żyć będę tylko z myślami moimi... Śnić będę, że spoczywam na falach, rozkołysanych w blaskach księżycy, i gonię ideę moją... Nadpłyną ludzie — poruszę fale, spiętrzę je w góry... Rzucę o statek... O brzegi skał... Pokruszę!...

Widząc, że chcę powstać, wstrzymała mię za rękę.

— Nie szukaj chininy! Zdrowa jestem i silna! Tylko mi smutno!... Pocałuj mię tu!...

Nadstawiła usta.

Badalem znowu jej puls — bił normalnie. Czoło było w miarę ciepłe.

— Boisz się!... Bądź spokojny!... Nie majaczę!... Chodź!... Całuj!... Usta me jeszcze nie całowały!

Chciałem się odsunąć, schwyciła mię za szyję, przyciągnęła gwałtownie, Usta wpiły się w usta, wgrzyła się w moje wargi...

Próbowałem powstać, oderwać się, uciec... Uczułem ciężar jej ciała... Zwiśla mi w ramionach...

Złożywszy ją na ziemi i okrywszy pledem, odszedłem nabok.

W mózgu mym szalała burza, krew przewalała się w nabrzmiałych tętnicach z taką siłą, jakby je zerwać chciała. Zrywałem się, siadałem, znów kładłem.

Godziny wlokły się ciężko...

* * *

Błysnął świt.

— Dzieńdobry! — uśmiechnęła się figlarnie. — Myślałam, że cię coś ukąsiło, tak się rzuciłeś! A tu już świta! Kiedyż dojdziemy nareszcie do mego szałasu?

Powstała szybko.

— Śpieszmy się! Wracajmy!

Zaprzeczyłem ruchem głowy i wskazałem ręką przeciwny kierunek.

Stała groźna, błyskawice skrzyły się w jej oczach, zacisnęła wargi.

— Potwór!...

Nie słuchałem. Rzuciłem się do mułów, władowałem pakunki i ruszyłem naprzód...

* * *

Przed południem byliśmy już w Antoninie. Sprzedaliśmy nieźle skóry, tkaniny i inne grubsze rzeczy. Wieczorem przybyliśmy do Paranaguá.

Statek odchodził dopiero za dwa dni. Zatrzymaliśmy się w małym hoteliku, wykupiliśmy nazajutrz bilet i, nie wiedząc, co z sobą robić, wyruszyliśmy na łodzi rybackiej na pełny ocean.

Wróciliśmy do hotelu późną nocą.

Przez cały ten czas milczała uporczywie. Napóżno starałem się nawiązać rozmowę — nic nie pomagało. Nie patrzyła nawet na mnie, jakkolwiek bez protestu akceptowała wszystkie moje propozycje.

Mieliśmy jeszcze jeden cały dzień przed sobą. Wynajętem znowu łódź żaglową i — już bez przewodnika — wyjechaliśmy rano na zatokę.

Wiatr dął silny, łódź mknęła lekko, pochylona. Chwiał się nadęty żagiel...

Obserwowałem ją bez przerwy.

Uśmiechała się od czasu do czasu jakoś chytrze. Potem patrzyła mi prosto w oczy przenikliwie, długo...

Zbliżało się południe.

Łódź zwolniła biegu, zwinąłem żagiel i ująłem wiosła.

— Proszę zwolnić ster, wracamy!

Powstała, Bezwiednie wstałem również, opierając się o maszt.

— Rzekłam już, że jesteś potwór... I nie odwołam, chyba, że na swego Boga przysięgniesz, że wrócimy natychmiast do mego szałas w góry... Mów!

— Nie wrócimy! Droga twoja wiedzie na wschód! W dłoni jej błysnął mały znany mi już browning.

— Mów!... Wracamy... lub... nie wrócisz!...

Siliłem się na spokój.

— Schowaj broń na inne czasy! Może się jeszcze przydać. Zresztą strzelaj!... Celuj jednak dobrze!...

* * *

Zanim mogłem się zorientować — wyskoczyła z łodzi i znikła pod wodą...

Napór wody wyrzucił ją wnet na powierzchnię, schwyciłem ją pod ramię i wciągnąłem z trudem do łodzi.

Omdlenie minęło szybko.

Otworzyła szeroko przerażone oczy, dotknęła ręką mego ciała, potem łodzi — jakby sobie nie wierząc...

Płomienie znów poczęły przebiegać po jej twarzy... Rzekła wreszcie silnym, stanowczym głosem:

— Potwór!

To było ostatnie jej słowo tego dnia.

Południowe słońce wysuszyło szybko jej suknię, wróciliśmy do miasta.

Po obiedzie zaproponowałem przechadzkę — odmówiła. Usiadła w swym pokoju przy oknie i, patrząc na zatokę, milczała.

Mijały godziny.

Nazajutrz rano ruszał statek, wiele rzeczy należało jeszcze omówić, wyjaśnić, brakło mi jednak słów.

Z trudem wykrztusiłem wreszcie.

— Jutro o świcie będziesz na oceanie... Nie chciałybym, abyśmy rozchodzili się w milczeniu, z wzajemnym żalem do siebie. Jest w nas obojgu wina... daruj mi moją... twoja leży poza tobą... może się jeszcze kiedyś zobaczymy...

Odwrociła się gwałtownie.

— Chciałybym jednak zobaczyć wówczas panią szczęśliwą... Może gdzieś w Paryżu... Będę tam za

rok, zatrzymam się dłuższy czas... Może gdzie indziej...
Świat jest nieduży...

Patrzyła znowu w okno.

— Proszę jednak o jedno... Staraj się pani chwycić szczęście, szukać człowieka... Wierz i bądź wyrozumiałą!...

— Potwór!

— Niech będzie potwór!... A jednak potwór nie żegna tak szatana:

Przegiąłem jej głowę wstecz, ucałowałem lekko w usta i... uciekłem do swego pokoju.

* * *

Całą noc nie zmrzyłem oka, lecz na krótko przed świtem zasnąłem twardo.

Obudził mię ryk syreny okrętowej... Zerwałem się na równe nogi.

Słońce świeciło jasno.

Jak szalony rzuciłem się do jej pokoju.

Był pusty.

Na kartce, pozostawionej na stoliku, nakreślone były trzy słowa:

— Do widzenia.

Rica*)

* * *

*) Czytaj Rika.

IV

GRZECHOTNIK

Bezkresny szmat stepu złościł się przede mną wokoło, jak daleko wzrok mógł sięgnąć. Spękana, na kamień stwardniała ziemia, żółte żdźbła traw, wyschłe koryta rzek, wszystko to czekało deszczu, modliło się oń swoim milczeniem, nagością, szkieletami. A słońce, chociaż już jesienne, sypało dalej beztosnie piekielny żar.

W gospodzie małego miasteczka czekałem na nadejście chłodu wieczora, aby ruszyć w dalszą drogę, przed siebie, bez celu. Byle dotrzeć do puszczy, potem znów na stepy, byle jak najdalej.

Naprzełaj przez ten ocean traw, bez śladów ścieżyny, miałem się wlec jakich sześć, siedm dni, aby dotrzeć do następnego osiedla ludzkiego.

A zawsze sam. To też nie ukrywałem radości, gdy jeszcze dwóch takich, jak i ja, włóczęgów zgłosiło swą chęć towarzyszenia mi w drodze.

Jeden z nich, stary już, lecz młodzieńczo krzepki murzyn, skądś z „CaboVerde“, drugi—biały, prawdziwy „obywatel świata“, który nie wiedział, gdzie i kto go rodził, mówiący językami wszystkich żywych narodów, włóczęga, który przedeptał cały glob ziemski we wszystkich kierunkach.

Towarzystwo było więc jak wymarzone. Humor, skryty dotychczas gdzieś w głębi zachmurzonych serc, wykwitł na nasze oblicza, i skoro tylko słońce schyliło się nieco nad miastem, ruszyliśmy w drogę, obładowani zapasem żywności, niby roztropne osły lub chytre muły.

Zdaleka jeden jeszcze rzut oka za siebie, na opuszczone przed chwilą miasteczko.

Zanurzyliśmy się w cmentarzysko traw. Stopami naszymi łamane ich szkielety chrzęściły sucho, opryskliwie, chwiała się inna, potrącone tylko w przejściu, szemrzając cichą skargę.

Szliśmy rażno, wesoło, opowiadając sobie nawzajem ciekawsze epizody swego żywota, płosząc rozgłośnym śmiechem cmentarną ciszę stepu u schyłku dnia.

* * *

Szybko zbliżał się zmrok.

Tuż obok beładnie rozrzuconych skał, nagich, poszarpanych, wycieliśmy trawę w mały krąg, z pobliskiego jaru nąznosiliśmy stos suchych gałęzi i, le-

żąc wokół ogniska, przyrządzaliśmy sobie po czterogodzinnej nieprzerwanej podróży skromny posiłek.

Krwawe swe blaski rzucało słońce ostatnim już wysiłkiem, chowało się za góry, aby się odrodzić nad oceanem Wielkim i zaświecić Azji i Australji.

A step ożył.

Tuż ponad nami cichutko przemknęła (biała sowa, gdzieś wdali zagrały świerszcze, zaszeleściły trawy, trącane ciałem chyłkiem mknących włochatych „tamandua“*)

Leżałem oparty na łokciach i długim bambusem poruszałem od czasu do czasu gałęzie w ognisku. Naprzeciw mnie murzyn, ujawszy głowę w dłonie, kołysał nią w takt swoich myśli, bijąc to jedną, to drugą stopą o ziemię. Zboku, wpatrzony w ciemniejący błękit nieba, wyciągnął się nasz trzeci towarzysz z ręką wzniesioną w górę, jakby wskazującą ponad naszymi głowami miejsce, w którym wkrótce miał zajaśnieć „krzyż Południa.“

* * *

Był moment głuchoj ciszy.

Ognisko tliło się bez trzasku, step zamilkł, milczeliśmy i my.

Myśli nasze były daleko od nas. Moje pomknęły na drugą półkulę w pogoni za Riką.

*) mrówkojad.

Ciszę przerwał nagle głuchy grzechot.

Drgnęliśmy, aby natychmiast zamrzeć w bezruchu. Pochylony bambus zachwiał się w mej dłoni ruchem niedostrzegalnym i sterczał potem nieruchomo ponad stepem, obok wzniesionej do góry nogi murzyna i ręki włóczęgi.

I niktby teraz nie zauważył w nas najmniejszego ruchu. Powieki nawet nie drgnęły. Jeno jeszcze silniej zabłysły źrenice.

Patrzyłem właśnie w oczy murzyna. Migotały w nich wyraźnie to wściekłość bezsilności, to znowu rezygnacja i obojętność, jakby mówiły:—Niech się dzieje wola Twoja, nie moja...

Ponowny grzechot, silniejszy, wyraźniejszy. Słyszeliśmy go ze wszystkich stron. Zdawało mi się, że wychodzi tuż, tuż z pode mnie, to znowu skądś obok, potem znowu z pod skał, z dalekiego stepu.

Sekundy wlokły się straszliwie.

Jeszcze jeden grzechot., długi, przewlekły.

Oczy murzyna zaświeciły obłędem strachu. Białka poczęły się zwolna, nieznacznie przekręcać w lewo, jakby chciały wyrwać się poza ciało.

Zrozumiałem.

Wprawne, przyzwyczajone do głosów stepu uszy murzyna, pochwyliły wreszcie dobrze ten ostatni grzechot, i oczy jego wskazywały mi kierunek, skąd głos wychodził.

Skierowałem wzrok w tę stronę.

W odległości najwyżej jednego metra od podniesionej nogi murzyna tkwiła w powietrzu nieruchomo, wpatrzona w nią małemi, lśnąciami ślepiami, głowa grzechotnika.

Z pośród kłębów ciała wychylała się wgórę potworna, groźna, hipnotyzująca. Poza nią, niżej, wzniesiony koniec ciała z grzechotką.

Nie było ani chwili do stracenia,

Kręgi cielska poczęły się zwolna rozwijać, głowa pochylała się wprzód, środek wyginał się wgórę.

Jeszcze sekunda, dwie, a grzechotnik rzuci się na bosą nogę murzyna.

Mierzyłem w myśli odległość, szukałem sposobów ratunku. Nasuwało się ich tysiące. Przeważało przeświadczenie, że jeden najlżejszy choćby ruch którego z nas przyspieszy skok.

Szyja grzechotnika wydłużyła się już prawie poziomo, łeb sterczał jeszcze wzniesiony wgórę.

Ruchem, dobytym ze wszystkich mięśni i nerwów, przeniosłem nagle bambus ponad głowę murzyna i, trafiwszy w szyję grzechotnika, tuż pod głową, odrzuciłem go o kilka kroków pod skałę.

Z gardła wyrwał mi się jednocześnie zduszony głos: „erguem!“*)

Musiał to być głos dziwny, może nawet ryk, gdyż wszyscy trzej zerwaliśmy się wraz na nogi i, wydo-

*) wstawiać — zytaj ergęń.

bywszy rewolwery, daliśmy trzy—niby jeden—zgodne strzały w kierunku przygotowującego się do nowego skoku grzechotnika.

A murzyn się wściekł. Raz po raz nabijał swój dwustrzałowy pistolet i strzelał.

Roztrzaskana głowa grzechotnika leżała już bezsilna, ohydna, ciało drgało jeszcze od czasu do czasu.

A murzyn strzelał wciąż, i każdy strzał był celny. Brakło mu już naboju, wyrwał mi z ręki mój browning, wystrzelał cały magazyn. Schwycił wreszcie porzucony bambus, podniósł poszarpane szczątki grzechotnika do ogniska i zatańczył dziki jakiś taniec.

* * *

Straciliśmy ochotę do wypoczynku. Ruszyliśmy w mrok przed siebie, milcząc posepnie. Dopiero przed świtem legliśmy, wyczerpani z sił, na dnie głębokiego, urwistego jaru.

Wkrótce zabłysło słońce. Już pierwszy jego promień rozgrzał nam serca, rozjaśnił umysły. Zatarło się, wyblakło wspomnienie minionej nocy, wystąpiły wspomnienia zdarzeń dawniejszych, groźniejszych, na całe życie pozostawiających po sobie ślady.

Pierwszy przerwał milczenie nasz włóczęga. Gwizdnął przeciągle raz i drugi, potem roześmiał się zupełnie wesoło i burknął:

— A jednak to jest zupełnie śmieszne. Zwłaszcza ty, czarny człowieku, czemuż to tak skakałeś jak

osioł, ukąszony przez szerszenia? Czy jeszcze nigdy w swem życiu grzechotnika nie widziałeś?

Twarz murzyna ściągnęła się, ułożyła w pogmatwane linje, zdradzające aż nazbyt widocznie wewnętrzny ból.

— Nie drwij! Widziałem ich setki. Może więcej!... Znam je bardzo dobrze. A chcesz wiedzieć, dlaczego przez chwilę stałem się szalony? Posłuchaj! Historia to krótka...

V

OPOWIADANIE MURZYNA

Stary już jestem. Za mojego życia już kilka pokoleń wymarło. Urodziłem się w niewoli, z ojców niewolników. A jednak dusza rwała się na swobodę, do lasów, na stepy, tam, gdzie białych jeszcze niema, gdzie przodkowie nasi mieli swoją wolę i żyli tak, jak chcieli.

Uciekali moi rodzice—ojciec zginął za to z ręki „kapangów“*) fazendera, matka zmarła w słońcu, w czasie pracy na plantacji, pracy ciężkiej, ponad ludzkie siły. Uciekali moi bracia, rodacy. Uciekali, jakkolwiek wiedzieli, że będą schwytani, że grozi im śmierć w mękach.

Uciekłem wreszcie i ja. Nie sam. Poznałem na fazendzie moją rodaczkę, pokochaliśmy się i uciekli razem. Uniknęliśmy pościgu jego „kapangów” i kłów jaguarów, przebyliśmy puszcze, czternaście pełnych

*) Zaufany sługa.

dni w niej spędziwszy, wyszliśmy na step. Głodni, niewyspani, znużeni naprawdę nieludzko, a jednak szczęśliwi swobodą, swoją młodością i miłością, leżeliśmy pod skałą, nad rzeką — ot tak, jak my teraz w tem miejscu. Moja narzeczona zasnęła. Oszczędłem nieco w step, aby wyszukać owoców na posiłek. Wróciwszy, zastałem już tylko zimne jej zwłoki. O kilka kroków zwinęty w poplątane węzły leżał w słońcu grzechotnik.

Własnymi rękami wykopałem dla niej grób na pustym stepie, ułożyłem mogiłę z kamieni i... wróciłem na fazendę... Zbito mię do utraty przytomności, przetrzymałem jednak wszystko.

* * *

A gdy niewolnikom dano wreszcie wolność, kilku zaledwie pozostało na fazendzie, reszta zaś jak dzikie zwierzęta, męczone wspomnieniem swobody—zbiegła w puszcze, podzieliwszy się na małe gromady. Miałem jednego tylko brata. On poszedł w jedną, ja w drugą stronę. Nazywał się Antonio. Od tego czasu już go więcej nie widziałem.

Było nas razem pięciu. Puszcza żywiła nas i chroniła wybornie, wdzieraliśmy się coraz bardziej w jej głąb, aby tylko uniknąć ludzi. Pewnej nocy zaspaliśmy sobie jakoś wszyscy, nie dopilnowaliśmy ogniska, wygasło. W środek uśpionej gromadki wpadł jaguar, drapieżne pazury wbił w jednego ze śpiących,

Obudzili się moi towarzysze już za późno. Odpędzili wprawdzie jaguara, poraniony jednak towarzysz zmarł tej samej nocy, mnie zaś, strasznie pokaleczono, zostawiono na miejscu jako konającego.

Pozostałem sam w dzikim ostępie. Obudził mnie w nocy deszcz ulewny, poszarpałem na sobie koszulę, poobwiązywałem rany, powlokłem się w ciemną noc, o świcie padłem u ogrodzenia jakiejś osady i straciłem przytomność na długo. Życie swe zawdzięczam żonie kolonisty, znalazłszy mnie bowiem, nakłoniła swego męża do udzielenia mi pomocy. Po jakimś miesiącu wstałem z łóżka, po drugim odzyskałem dawne siły. Pozostałem w domu jako niewolnik i przyjaciel.

* * *

Pracowałem w puszczy wraz z właścicielem osady, Polakiem. Traktowano mnie jak najlepszego przyjaciela, równego sobie człowieka. Czułem się szczęśliwym, praca sprawiała mi teraz radość, po raz pierwszy poznałem ludzi dobrych. A gdy osada rozebrzmiała krzykami nowego, czwartego mieszkańca, córeczki, której daliśmy na imię Mariquinha, szczęście nasze dosięgło najwyższych granic.

Cicho i rozkosznie upłynęły nam dni dwu lat. Nagle w kraju wybuchły wewnętrzne zamieszki, bezlitosne walki bratobójcze. Jeden z oddziałów powstańczych schronił się w puszczy, napotkał po drodze

naszą chatę. Rodzice Mariquinhi usiłowali bronić swego mienia i padli, przeszyci kilku kulami, mnie zaś udało się uratować tylko dziecko i nieco złota, chowanego skrzętnie przez rodziców Mariquinhi wraz z różnymi dokumentami w małym woreczku.

* * *

Uciekłem w puszczy, wybudowałem małą „ranszę” nad dopływem rzeki Tibagy, daleko od ludzi, i zajęłem się wyłącznie Mariquinhą. O niej tylko myślałem, dla niej tylko żyłem. Nauczyła się wkrótce korzystać z darów puszczy, unikać jej zasadzek i niebezpieczeństw, szukać legowisk jaguara, odnajdywać trop sarny i dzika, sporządzać sidła na ptaki, sieci na ryby.

Przebywaliśmy prawie zawsze razem. Jedyne w czasie dłuższej posuchy wychodziłem w puszczy sam na cały dzień, a Mariquinha zostawała wówczas w szałasie z małym dzikim kotkiem, którego jej pewnego dnia z puszczy przyniosłem.

Chodziłem wówczas nad rzekę, wyląwiałem białe kamyczki, o których ojciec Mariquinhi opowiadał mi, że jeden taki—byle tylko duży kamyczek, uczyni człowieka bogatym i o przyszłość swoją spokojnym.

W ten sposób Mariquinha przeżyła lat czternaście. Poznała wszystkie tajniki puszczy, mięśnie jej nabrały hartu, upodobniła się do wszystkich stworzeń, żyjących w puszczy, silnych i śmiałych, decydujących się

szybko, stanowczo. Nazywała mnie przytem swym ojcem, ja ją—swoją córką.

Mariquinha wychodziła również często sama. Jakkolwiek nie obawiałem się zbytnio o nią, wiedziałem bowiem, że da sobie ze wszystkiemi radę, nie pozwalałem jej jednak odchodzić zbyt daleko i nakazywałem powrót na długo przed zachodem słońca.

Aż tu pewnego dnia napróżno czekałem na nią do samego zachodu. Skoczyłem wreszcie w las, aby ją odszukać. Nie umiałbym opowiedzieć, co się wówczas ze mną działo. Biegałem jak oszalały po puszczy, wołałem, krzychałem, nadśluchiwałem, szukałem śladów. Napróżno. Odpowiadało mi tylko dziwaczne, dalekie, coraz dalsze echo, jakieś przeciągłe a... a... a... Puszcza nie chciała tak łatwo zdradzić swych tajemnic. Rzuciłem się w co najdzikszy gąszcz, biegłem naoslep, kalecząc sobie twarz, ręce, całe ciało o ostre, zeschnięte liście taquary, nadłamane gałęzie, kolce. Pierś moja z trudem chwytiała powietrze, twarz okryła się potem, zamazała krwią, sączącą się kropelkami z małych ran. Traciłem poprostu przytomność.

Wreszcie potknąłem się i padłem. Strzelba zawadziła o pień, pochyliło się kilka trzciny, ściętych kulą, a po puszczy poszedł huk, niby stu gromów naraz. Echoniosło go coraz dalej, rozszerzało aż po pasmo gór, widniejących hen, na skraju widnokregu. Nie umilkło jeszcze zupełnie, gdy w uszach moich

zaszemrał cichy dźwięk, jakby odgłos dalekiego wołania. Wydało mi się, że to głos Mariquinhi. Zerwałem się, wyteżyłem słuch. Cisza. Krzyknąłem znowu resztką sił i głosu w zadyszanej piersi. Przebrzmiało tępe echo. Znowu cichy dźwięk, niby szelest. Z dziwnem jakimś uczuciem trwogi wchłaniałem w siebie rozproszone odgłosy puszczy. Nagle mózg mój ogarnęły płomienie, skrzyłem się z bólu, wpatrzyłem w mrok zapadającej szybko podzwrotnikowej nocy. Mijały długie sekundy. Zdało mi się wreszcie, że tuż obok mnie ktoś zawył dziko:—To Mariquinha! Ona w szalasie!

Skoczyłem przed siebie i biegłem bez wytchnienia, objając się o pnie, potykając o korzenie i liany. Znałem jednak dobrze drogę, rozświecało mi ją jasno wyraźne już, rozpaczliwe wołanie Mariquinhi. Chciałem odkrzyknąć, z gardła wydarł mi się jednak tylko suchy świst. Biegłem więc dalej wśród ciemności. Głos Mariquinhi słyszałem coraz to bliżej, wyczuwałem w nim wilgoć łez. Wreszcie dobiegłem. Stała u progu szalasu i, płacząc, wołała: Ojczel! Ojczel! Hop! hop! Chciałem się opanować, zwalczyć w sobie znużenie. Lecz nadaremnie. Padłem u jej stóp jak martwy.

* * *

— Od tego czasu nie puszczałem jej już samej. Przysięgłem sobie, że ją wyprowadzę między ludzi,

wyszukam opiekuna, sam bowiem uczulem się dziwnie słaby. Widziałem ją w myślach swych rozszarpaną przez jaguary, to znowu wijącą się w męce febry, to wreszcie omdlałą w rękach złych ludzi. A jednak trudno mi przychodziło zdecydować się. Straciłem dawny swój spokój, ustawicznie myślałem nad tem tylko, jakby zabezpieczyć przyszłość Mariquinhi. Częściej też teraz wychodziłem nad rzekę. Ona siadywała w cieniu, na brzegu, a ja szukałem na dnie koryta rzecznego, wśród skał, w piasku, w co najgłębszych miejscach, tych małych białych kamyczków, w których widziałem jedyny ratunek. W ten sposób minęło nam znowu kilka tygodni, nazbierałem kilkadziesiąt kamyczków różnej wielkości. Przyszły jednak dni deszczowe, musieliśmy pozostać w szałasie. Gdy po dwu czy trzech tygodniach zabłysło wreszcie słońce, wyszedłem sam w puszcze. Dzień był niesłychanie upalny, żar słońca przenikał w najciemniejszy gąszcz, dawał się odczuwać tuż nad rzeką. Usiadłem więc na zwalonym pnium, w cieniu, niedaleko szałasu.

Martwoję ciszy przerwało nagle dalekie echo strzału. Wróciłem natychmiast do szałasu, zdecydowany ostatecznie. Przez resztę dnia spakowałem skór dzikich zwierząt i nazajutrz o świcie porzuciliśmy szałas, aby się udać między ludzi. A jednak szedłem z niechęcią. Gdyby nie Mariquinha, nie uczyniłbym tego na pewno, wolałbym pozostać w pu-

szczy. Nie bałem się ludzi, lecz nie wierzyłem im. Niewiarę tę starałem się wpoić w Mariquinhe i codziennie w czasie noclegu przy ognisku ostrzegałem ją, aby z ludźmi była ostrożna.

— Mariquinha!—mówiłem wówczas do niej—musisz pamiętać, że człowiek to stworzenie złe, ale się nie obawiaj. Nigdy nie trzeba się bać. Człowiek jest tem gorszy dla drugiego człowieka, im bardziej tamten się go obawia. Nie trzeba mu tylko wierzyć. Trzeba się strzec, Tak samo jak w puszczy. Jeżeli zbliża się burza, a słońce mocno pali, to wchodząc na ścieżkę szukamy żmii. Jasne będzie miejsce, suche, ciepłe, miłe, a gdzieś w kącie czyha śmierć. I człowiek jest nieraz wesóły, pogodny, uśmiechnięty, a w głębi serca kryje jad, truciznę. Albo gdy wejdziemy na trop jaguara, idziemy za nim coraz dalej, ale nietylko za nim jednym. Tuż obok może być drugi ślad, drugie niebezpieczeństwo. A gdy ślad nagle zniknie, gdy jaguar się ukryje, czujność nasza musi być jeszcze większa. My go nie widzimy, ale jaguar może nas widzieć. A to jest niedobrze. Musi być tak, abyśmy my jego widzieli, a on żeby nas nie dostrzegł. I wobec ludzi tak samo. Nie trzeba iść ślepo za jednym tylko. Bo jest ich wielu, bardzo wielu: więcej niż jaguarów i żmij. I niewiadomo, który z nich gorszy, który niebezpieczniejszy. Trzeba długo, długo śledzić. Ale nigdy nie trzeba się bać. A podobnie jak w puszczy słyhać nieraz echo walk,

jakie z sobą staczają jej mieszkańcy, gdy jaguar dusi dzikiego kota, dziki kot sowę, a sowa śpiącego ptaszka, jeden przeciw jednemu, wszyscy przeciw wszystkim, tak samo robią ludzie, tylko jeszcze gorzej. Nie pożerają się wprawdzie, ale podstępem chytrym walczą wielu przeciw jednemu, zniszczą go, wyszydzą, sponiewierają, że straci ochotę do życia, że chciałby się przemienić w glaz martwy, nieczuły, albo w piorun...

W ten oto mniej więcej sposób opowiadałem jej codziennie w ciągu długich dni trzydziestu naszej wędrówki przez nietknięty jeszcze stopą ludzką gąszcz. Widziałem, że wchłaniała w siebie moje słowa, że stara się je zapamiętać, i uspokajałem się coraz bardziej. Zdawało mi się, że w ten sposób będzie bezpieczniejszą, pewniejszą siebie, szczęśliwszą.

* * *

Doszliśmy wreszcie do kolonii, i Mariquinha zobaczyła pierwszego człowieka obcego. Wpatrzyła się w niego podejrzliwie, śledziła każdy jego ruch, widziałem jednak, że nic się nie boi i to mi wystarczyło.

Sprzedalem w wendzie przyniesione z puszczy skóry, rozpytałem o drogę i znowu ruszyliśmy przed siebie. Mariquinha wlokła się za mną w milczeniu i dopiero, gdyśmy wyszli daleko za kolonję, zarzucała mi tysiącem bezładnych pytań. A co to ta-

kiego dostałem za skóry, a co to wisało na ścianie w tej wendzie, a dlaczego właściciel tej wendy był biały i jakiś inny. Tłumaczyłem jej wszystko, jak tylko umiałem.

A potem wrażenia szły już jedno za drugim w szybkim tempie, biły w jej mózg jakby obuchem, oszalała. To też, gdyśmy wreszcie doszli do przedmieść S. Paulo, gdzie w małym, skromnym pokoiku brudnego hotelu zamknąłem ją na klucz, nakazując siedzieć cicho, nawet przez okno nie wyglądać i nikomu drzwi nie otwierać, chociażby mocno stukał, przycupnęła cicho po moim wyjściu w jednym kącie łóżka, przytuliła głowę do zimnej ściany i, wpatrzona widocznie w wizję tego wszystkiego, co po raz pierwszy w swym życiu widziała, zmęczona, zasnęła wkrótce twardym snem.

* * *

Ja zaś wsunąłem się w ruchliwe ulice miasta. Pierwszy raz w mem życiu znalazłem się w tak rojnym mrowisku ludzkim, nie znałem ni miasta, ni ludzi, a jednak myśl, że chodzi o Mariquinhę, dawała mi otuchy i sił. Informując się co krok u czarnych przeważnie jak i ja policjantów — doszedłem wreszcie do głównej komendy policji. Przydały mi się tu opowiadania ojca Mariquinhi, których ciekawie zawsze słuchałem w czasie długich wieczorów tych szczęśliwych dni, jakie razem spędziliśmy w puszczy.

Dyżurnemu policjantowi, który mnie do gmachu wpuścić nie chciał, oświadczyłem, że posiadam ważną tajemnicę, którą mogę zakomunikować tylko samemu głównemu komendantowi. Wpuszczono mnie natychmiast. Komendant, poważny staruszek, przyjął mnie życzliwie. Nabrałem śmiałości, opowiedziałem mu szczegółowo tragedję rodziców Mariquinhi, prosiłem o wydanie dokumentów, któreby nam pozwoliły na spokojną sprzedaż kilku diamentów (mówiłem, że mam tylko dziesięć małych kamyczków), mających zapewnić przyszłość Mariquinhi, a stanowiących jedyną — obok kilku papierów rodzinnych — spuściznę jej rodziców. Prosiłem również o dokumenty, któreby nam zapewniły bezpieczny pobyt wśród ludzi. Komendant pełen był wyrozumiałości dla ludzkich kłopotów, zbadał dokładnie okazane mu przeze mnie papiery rodziców Mariquinhi, coraz to o coś zapytywał. Kazał sobie pokazać kamyczki, wyjąłem z woreczka cztery. Oglądając je badawczo, oddał je zpowrotem, wyszedł na chwilę do sąsiedniego pokoju, wróciwszy zaś, wręczył mi kilka papierów, wytłumaczył ich wartość i rzekł:

— A pamiętaj, stary, nie opowiadaj nikomu, że masz diamenty! Dziwny to kamień. Śmierć chodzi jego śladem! I przyprowadź mi kiedy tę twoją dziewczynę, niech i ja zobaczę dziką „kotkę leśną“.

Dziękowałem mu naprawdę serdecznie, z trudem

uprosiłem o zatrzymanie na pamiątkę trzech kamyczków.

“ * *

Opuściwszy gmach komendy, wszedłem do pierwszego zauważonego po drodze sklepu jubilerskiego, wydobyłem z woreczka najmniejszy kamyczek i spytałem właściciela sklepu, ile mi za to zapłaci. Jubiler zmierzył mnie podejrzliwym wzrokiem, długo oglądał kamyczek, ważył go, stukał, skrobał, szepnął wreszcie coś do ucha swemu pomocnikowi, który natychmiast wybiegł na ulicę. Po kilku minutach wszedł do sklepu najpierw policjant, tuż za nim wsunął się pomocnik jubilera. Nie czekając na zapytanie, wydobyłem spokojnie jeden z wręczonych mi przez komendanta papierów i wręczyłem go policjantowi. Ten wziął go do ręki niechętnie, po przeczytaniu jednak już pierwszych słów wyprostował się jakby na służbie, oddał mi papier, przepraszając za nieporozumienie, i gdy wychodziłem, zsalutował mi ostro. Przez cały ten czas jubiler stał na boku z otwartą szeroko gębą, po wyjściu zaś policjanta dogonił mnie na ulicy i prosił gwałtownie o sprzedaż kamyczka ofiarując mi zań zrazu dziesięć, potem piętnaście tysięcy. Z trudem wyrwałem się z jego rąk. Nie wiedziałem wprawdzie, ile to jest piętnaście tysięcy milrejsów, jubilerowi jednak już nie wierzyłem, chociaż, wnioskując na podstawie tej ilości pie-

niedzy, jaką otrzymałem przedtem za sprzedane skóry, domyślałem się, że to musi być suma ogromna. A przecież w woreczku miałem tych kamieni kilkadziesiąt i to w dodatku dużo większych. Gdybym to był przedtem wiedział! Tyle dni straciłem w puszczy beczynnie, a tych kamyczków zostało jeszcze w rzece takie mnóstwo! W kilka lat potem wróciłem jeszcze w to samo miejsce, lecz odszedłem z niczem. Usadowiła się tam kompanja Anglików, nikogo nie dopuszczała na odległość kilku kilometrów.

Wstąpiłem potem do drugiego jubilera. Tu powtórzyła się ta sama historia z długim badaniem kamyczka, z policjantem i papierem, z tą tylko różnicą, że los sprowadził mi obecnie sierżanta policji. Ten, przeczytawszy papier, zwrócił mi go natychmiast, poprosił potem, bym szedł za nim, wsadził mię do auta, podwiózł na jedną z większych i ruchliwszych ulic miasta i wprowadził do ogromnego budynku, w którym—jak się później dowiedziałem—mieściła się giełda. Przy pomocy sierżanta, sprzedałem trzy kamyczki, i wkrótce opuściliśmy gmach, woreczek zaś mój wypełnił się sporą ilością powiązanych razem w małe paczki banknotów. Sierżant zapoznał mię z pieniądzem papierowym, wyjaśnił mi wartość całej sumy, otrzymanej za diamenty, nauczył odróżniać poszczególne banknoty. Dziękując, wręczyłem mu przy pożegnaniu jedną z tych wielu

paczek. Klaniał mi się z takim zapalem, że aż przechodnie patrzeć na nas poczęli jak na dwu warjatów.

* " *

Wróciłem teraz do hotelu, gdzie Mariquinha czekała na mnie zgłodniała, lecz wypoczęta. Ucieszyła się na mój widok, aż jej kilka łez pociekło. Spożyliśmy skromny posiłek i wyszliśmy razem na miasto. Zaraz u wstępu wciągnąłem ją do dużego magazynu z bielizną i ubraniami, wybrałem dla niej suknię taką, jaką widziałem u dziewczynek w jej wieku, spotykanych na ulicy, i sam potem ubrałem się modnie, woreczek z kamyczkami ukryłem w małej eleganckiej teczce, z którą, oczywiście, nie rozstawałem się ani na sekundę.

Zniknęliśmy w tłumie ludzkim wszelkich ras, języków i wiar, przesuającym się gwarnym rojem po ulicach miasta. Pierwsze onieśmienie Mariquinhi minęło szybko i bezpowrotnie. Przyglądała się bystro przechodzącym rówieśniczkom, przyswoiła sobie rychło ich swobodny sposób zachowania się, orjentując się we wszystkim z tą łatwością, jaka jest właściwa tylko mieszkańcom dzięki puszczy. Po dwu godzinach nawet wytrawny obserwator nie domyśliłby się, patrząc na nas, że tak niedawno jeszcze odziani byliśmy w lachmany i dziś po raz pierwszy dopiero weszliśmy między ludzi.

Za Mariquinhą oglądali się ludzie z ciekawością. Jakkolwiek bowiem starała się upodobnić zupełnie do swych rówieśniczek, to jednak nie mogła ukryć tego, co zbyt mocno w niej się dotychczas zakorzeniło, co uwydatniało jej charakter. Nie mogła jeszcze widocznie zapomnieć, że ludzie to stworzenia gorsze od jaguarów i żmij i trzeba się ich strzec. To też zgrabne, elastyczne jej ruchy miały w sobie rzeczywiście coś, co jednym mogło przypominać panterę, innym żmiję, niektórym powiew morskiego wiatru, wszystkim zaś rzucało się w oczy jako coś niecodziennego, niezwykłego. Jakiś pan, zauważywszy Mariquinhę, patrzył na nią długo i wreszcie rzekł zupełnie głośno do swego towarzysza:

— Patrz! Ta dziewczyna przypomniła mi puszcę. Odniosłem wrażenie, że widzę dziką kotkę!

Myśmy zaś szli dalej spokojnie, choć duma we mnie rosła, rozpierała serce niezwykłą radością. Wszak przyzwyczaiłem się nazywać Mariquinhę swoją córką, kochałem ją ponad własne życie. A czyż do tego nie miałem prawa?

W nowych sukniach Mariquinha wydawała się istotnie wyższą, dojrzałą. Przenikliwy jej wzrok, bystry i czujny, przerzucał się lekko z przedmiotu na przedmiot, z przechodnia na przechodnia, przenikał do głębi serc ludzkich, sondował je nielitościwie aż do dna. Zauważyła też odrazu, że jest obserwowana. Bez wahania zapytała mnie natychmiast:

— Ojcie! Dlaczego ci ludzie na nas tak patrzą? Nie miałem wiele czasu do namysłu, odparłem więc w te mniej więcej słowa:

— Dlaczego? Bo nas jeszcze nie widzieli. Oglądają nas ze wszystkich stron, aby ocenić, czy możemy być dla nich dobrym łupem. Ale nie obawiaj się niczego! Bądź tylko czujną i ostrożną.

* * *

Ucieszyłem się, widząc, że mi wierzy. Resztę pierwszego dnia spędziliśmy na poszukiwaniu mieszkania. Wreszcie zdecydowałem się wynająć całą pustą willę przy jednej z najładniejszych ulic miasta, zakupiłem meble i przed północą mieliśmy już własne, miłe mieszkanie. Nie żałowałem pieniędzy, wszak miałem ich aż nadto, a przecież chodziło tu o zadowolenie mojej Mariquinhi.

Na drugi czy trzeci dzień zauważyłem wychodzącego z gmachu szkolnego sympatycznego staruszka. Dowiedziawszy się, że jest profesorem, poprosiłem go udzielanie lekcji Mariquinhi. Zgodził się chętnie, zapewniłem go, że dam pieniędzy na wszystko, czego tylko będzie potrzeba, i już nazajutrz rozpoczęły się lekcje. Mariquinha zabrała się do nauki z niesłychanym zapałem. Przysłuchiwałem się lekcjom codziennie, sam wiele się przytem nauczyłem, nie mogłem jednak nadażyć za Mariquinhą. Po trzech miesiącach czytała już zupełnie płynnie i pisała wcale

nieźle. Po skończeniu lekcji z profesorem siadała zwykle w wygodnym fotelu na werandzie, wychodzącej na ogród naszej willi, i czytała bez przerwy, całymi godzinami jedną książkę za drugą z całego ich stosu, przysłanego jej przez profesora na czas nauki. A potem już sama ciągnęła mię do księgarni, wybierała po kilka tuzinów książek i płacić mi kazała, nie pozwalając nawet na jedno słowo sprzeciwu.

* * *

W ten sposób upłynęło nam pełnych dziesięć miesięcy. Wreszcie profesor oświadczył mi, że Mariquinha wie już aż nadto dużo i że stanowczo musi na pewien czas przerwać naukę, w przeciwnym bowiem razie może się rozchorować. Z trudem wielkim udało się nam nakłonić ją do odpoczynku i to pod tym tylko warunkiem, że zobaczy morze.

Wyjechaliśmy więc do Rio de Janeiro. Ogromny ruch tego miasta przeraził na chwilę nawet mnie, starego. Opanowałem się jednak wkrótce i, stosując się do rad profesora, wprowadziłem Mariquinhę w sam wir życia, którego szalone tempo nie pozwoliło nam nawet na zorientowanie się w czasie. Nie zauważyliśmy, jak szybko mijał dzień za dniem, miesiąc za miesiącem. Wypłoszyły nas dopiero styczniowe, nieznośne upały, wróciliśmy po półrocznym pobycie w Rio, do swej cichej willi w São Paulo,

* * *

Stary profesor nie poznał Mariquinhi. Uradowany z jej powrotu, nabrał niezwykłego humoru, spędzaliśmy nieraz całe dni razem. Tłumaczył mi, że Mariquinhi trzeba teraz dać większą swobodę. Niech się uczy—mówił do mnie—radzić sobie sama. Jest już dorosła, wie bardzo wiele. Przechodzi nowy okres w swem życiu, wchłaniane dotychczas bezładnie różne wiadomości łączą się w pewien całości kształt, zdobywa własny pogląd na świat i życie. Szuka celu swego życia, dajmy jej swobodę.

Ufałem staremu profesorowi zupełnie, uznawałem w nim wiedzę i doświadczenie, a jednak nie mogłem się zdobyć na to, aby Mariquinhę puszczać na miasto zupełnie samą. Wychodziła często, lecz zdawało jej się tylko, że wychodzi sama. Szedłem zawsze za nią w pewnej odległości, bacząc pilnie na każdy jej krok, aby jej ewentualnie przyjść w odpowiednim momencie z pomocą.

Zawsze kroczyła śmiało, nic sobie nie robiąc z natrętnych spojrzeń ludzkich, baczna jednak na wszystko zwracając uwagę. Rychło też zauważyła pewnego młodzieńca, który z niezwykłą wytrwałością chodził krok w krok za nią w niewielkiej od niej odległości. Staralem się mieć go zawsze przed sobą. Trwało to coś tydzień. W którąkolwiek zwróciła się stronę, młodzieniec był zawsze przy niej. Wreszcie pewnego dnia, gdy właśnie wychodziła z księgarni z dużą paczką książek, urwał się cienki sznureczek, i książki roz-

sypały się bezładnie u jej stóp. Młodzieniec na to tylko czekał. Podbiegł szybko, pozbiierał książki i z lek-
kim uśmiechem ofiarował jej swe usługi. Zawahała się. Młodzieniec uśmiechał się jednak tak filuternie i niewinnie, że wesołość jego udzieliła się rychło i Marquinhi, i wkrótce szli obok siebie roześmiani, jakgdyby się od wielu dni znali. Pożegnali się przed willą. Mariquinha wbiegła szybko do górnego pokoiku i spojrzała z okna na ulicę. Stał jeszcze po przeciwnej stronie, przestał jej ukłon i oddalił się szybko.

Mariquinha rzuciła się w głąb swego foteliku i poczęła oddychać głęboko. Ukryty w sąsiednim pokoiku widziałem, jak się zrywała, to znowu siadała, podbiegała wciąż do okna i wyglądała na ulicę. Resztę dnia przesiedziała przy oknie zamyślona. Nazajutrz zerwała się wcześniej niż zwykle i znów stała w oknie. Zamigotała wreszcie sylwetka młodzieńca. Przystanął po przeciwnej stronie ulicy, ukłonił się z uśmiechem, stał nieco dłużej i znów znikł w tłumie ludzkim. Scena ta powtarzała się odtąd codziennie. Młodzieniec wystawał przed oknem coraz dłużej, Mariquinha stawała się coraz bardziej zamyślona. Siadywała jak dawniej na werandzie z książką w ręku, książka jednak leżała na jej kolanach przeważnie zamknięta, Mariquinha zaś patrzyła w przestrzeń. Nie raz całe noce spędzała bezsennie. Męczyła się.

* * *

Zdawałem sobie dobrze sprawę z tego, co się w jej sercu działo. Wszak i ja kiedyś swoim muryńskim sercem kochałem. Postanowiłem więc kryzys przyspieszyć. Zdecydowałem się śledzić młodzieńca, aby się dowiedzieć dokładnie, co to za człowiek, i potem odpowiednio całą sprawę pokierować. Wyszedłem więc jednego dnia z domu tak, że Mariquinha tego nie zauważyła (nie było to zresztą zbyt trudne) i, stanąwszy na rogu ulicy, czekałem. Młodzieniec nadszedł wkrótce, stał długo przed oknem, ukłonił się Mariquinhi i zawrócił zpowrotem w stronę centrum miasta. Wstąpił do małej cukierni, podszedł do dwu znanych sobie widocznie dam, siedział z nimi kilkanaście minut, wesoło o czemś rozprawiając. Wyszedł potem z jedną z nich i razem zniknęli w bramie sąsiedniego domu. Po jakiejś godzinie młodzieniec wyszedł już sam, skręcił w boczną ulicę. Towarzyszyłem mu w ten sposób aż na przedmieścia. Gdy młodzieniec znikł w gęstwinie podzwrotnikowego ogrodu, otaczającego małą luksusową willę, podszedłem do stojącego w bramie jakiegoś biedaka, dałem mu dwadzieścia milrejsów i zapytałem, czy nie zna przypadkiem tego młodzieńca, który dopiero co obok niego przechodził. To, co usłyszałem, nie tylko mię przeraziło, ale i zasmuciło. Bo oto biedak, zobaczywszy banknot, odciągnął mię nabok i szepać począł do ucha:

— Znają go w całym Rio, znają go i w São Pa-

ulo. Podobno bogaty, ma własne auto, wille. Za młodych lat przeskrobał coś, aż go rodzina z domu wyrzuciła. A potem i z Rio musiał uciekać. tułał się gdzieś po świecie i przybył do São Paulo. Ma pieniądze, niewiadomo skąd, ale ma, nawet dużo. Chodzi tu do właścicielki tej willi, również bardzo bogatej. To wesoły młodzieniec. Bawi się szumnie. Znają go tu wszyscy. Policja ma go zawsze na oku, poleciła mi pilnować tej willi, dostaję za to obiad w koszarach policji. Ale Pedro ma szczęście. Nie można go na niczem schwycić. Jeżeli masz z nim jaki interes, pilnuj się dobrze...

Zląkłem się o Mariquinhę i wróciłem wolno do domu, rzeczywiście zmartwiony. Wieczorem udałem się do starego profesora, opowiedziałem mu wszystko i prosiłem o radę. Stary aż się trząsł ze złości i raz wraz pięścią o stół uderzał. Po kilku godzinach powzięliśmy jednak pewien plan, który postanowiłem bezzwłocznie wprowadzić w życie.

Gdy rano Mariquinha ubierać się już poczęła z gorączkowym pośpiechem do wyjścia na ulicę, podszedłem do niej i zapytałem:

— Mariquinha! Dokąd idziesz?

Widziałem, jak fala gorącej krwi zalała jej twarz.

— Chcę... się... przejść... Głowa mię... boli...

Pierwszy raz w swem życiu nie wyznała mi prawdy, wiedziałem więc, że niema ani sekundy do stracenia, że trzeba natychmiast działać. Poprosiłem ją,

aby na chwilę usiadła, aby posłuchała pewnej historii, która może się jej bardzo przydać. Opowiedziałem jej wymyśloną naprędce opowieść o pewnej senhoricie, która wraz ze starym, wiernym sługą przybyła z fazendy do wielkiego miasta. Senhorita lubiła chodzić sama, chociaż stary sługa prosił ją często aby tego nie czyniła. Mówił jej, że po ulicach chodzą ludzie źli, którzy tylko czyhają na łup. Senhorita nie wierzyła jednak słudze, śmiała się z niego w głos. Pewnego razu siedziała sama na ławeczce w ogrodzie. Obok niej usiadł wkrótce potem jakiś młodzieniec. Poczęli z sobą rozmawiać, rozmawiali długo. Na drugi dzień spotkali się znowu, potem spotykali się codziennie. Młodzieniec był wesoły, miły, podobał się senhoricie. Oprowadzał ją po mieście, po cukierniach, teatrach. Wreszcie pewnego dnia zaprosiła go do swego mieszkania, wysławszy sługę daleko za miasto. Chciała być chwil kilka sam na sam z młodzieńcem. Stary sługa, wróciwszy późnym wieczorem do domu, znalazł swą senhoritę martwą, a wszystkie jej klejnoty i pieniądze znikły na zawsze.

Mariquinha słuchała mojego opowiadania z początku z niecierpliwością. Krwawe wypieki wystąpiły na jej twarz, przycisnęła rękę do piersi, widocznie serce szarpać się w niej poczęło zbyt silnie. Gdy skończyłem, zerwała się i rzekła:

— Tak! Ale to tylko bajka! Nie wszyscy są tacy!

Milcząc, ująłem ją pod ramię, podprowadziłem do okna i, wskazując jej młodzieńca, wpatzonego w okno wystawowe po przeciwnej stronie ulicy, powiedziałem:

— Prawda! Nie wszyscy są tacy! Ale jest ich wielu. Mogę cię zapewnić, że takim właśnie jest ów młodzieniec, który tam na dole stoi przed naszym oknem.

Mariquinha odskoczyła nagle od okna, długą chwilę nie mogła wydobyć z gardła głosu. Wreszcie szarpać mię poczęła za ramiona.

— To nieprawda! Skąd wiesz? To nieprawda! Daruj! Ja ci nic nie mówiłam, ale ja go znam. To José.

Zachwiała się. Podtrzymałem ją, ułożyłem na koczecie. Leżała długo, jakby w omdleniu. Po kilku minutach otworzyła oczy, popatrzyła na mnie przez łzy i rozplakała się. Milczeliśmy długo. Gdy się uspokoiła, otarłem jej łzy i rzekłem:

— Dziecko moje! Chciałbym, aby to była nieprawda. Mówiłem ci jednak, że ludziom nie trzeba wierzyć. Ten młodzieniec skłamał ci. On się nie nazywa José, ale Pedro! On nie jest wart ciebie! A chcesz się przekonać? Wyjdź teraz, spotkaj się z nim, zaprosz go na wieczór do siebie, zapewnij go, że będziesz sama. Ja wyjadę do Santos zakupić bilety, wrócę dopiero około północy. Powiedz mu, że jutro wyjeżdżamy na dłuższy czas do Rio. Na

stole zostawię dużo wina, daj mu pić i pij sama. Poznasz tego młodzieńca dobrze. Może ja się mylę...

Nie czekała, aż skończę, wysuszyła twarz chusteczką i wybiegła spiesźnie. Ubrałem się również i wyszedłem, kierując się w stronę dworca kolejowego. Zauważyłem, że Pedro pożegnał się natychmiast z Mariquinha i szedł za mną. Kupiłem bilet, wsiadłem do pociągu. Z wagonu dojrzałem, jak Pedro z radością zatarł ręce, gdy pociąg wreszcie ruszył. Głupiec! Wskoczyłem z wagonu na drugą stronę toru i ruszyłem teraz za nim.

* * *

Nadszedł wieczór. Równy z nastaniem zmroku Pedro zjawił się przed willą, stał chwilę przed bramą, rozglądając się na wszystkie strony, wpadł w nią później jednym skokiem, szedł cicho po schodach do górnego pokoiku, nadśluchiwał. Mariquinha była silnie wzburzona, zmieszana. Nie wiedziała, co ma mówić, jak się zachowywać. Rozmowę prowadził Pedro. Był w doskonałym humorze. Mariquinha nabierała z wolna pewności siebie, zdawało się jej widocznie, że rzeczywiście się myliłem. Czas mijał szybko. Ukryty w sąsiednim pokoju śledziłem każdy ruch młodzieńca, gotów w każdej chwili przyjść z pomocą Mariquinhi. W pewnym momencie Mariquinha, odurzona widocznie winem i nadmiarem wrażeń, pochyliła głowę nad stołem. Pedro skoczył ku niej, pod-

proceedził do kozetki, zamknął potem drzwi od schodów na klucz, zasunął gęste firanki u okna, zbliżył się do kozetki. Zawołał Mariquinę po imieniu, milczała. Ujął ją w pól, ucałował usta. Usiłowała zerwać się, Pedro jednak był silniejszy, rzucił nią lekko o kozetkę, związał ręce, w usta wepchnął chusteczkę. Stał nad nią i szydził.

— Ha! ha! ha! Taka cudna i moja! Tak! Będiesz moja! Tylko w pierw schowam sobie na pamiątkę wiązaną perel z twej szyi. Wcale ładna, niczego sobie! Oczywiście i wiązanka, i szyja! A może ten twój ojciec—ha! ha! ha!—może to murzynisko stare zostawiło gdzie swoją teczkę? Poszukamy! Poleż sobie tymczasem spokojnie! Zaraz wrócę! Nie denerwuj się! Popieszczę cię jeszcze! Mamy czas do północy! Ucałuję cię! A jakże!

Rzuciła się na kozetce, pochylił się nad nią, przycisnął do kozetki. Chciała krzyżeć, głos jednak zamarł w jej piersi, wydobyło się z niej tylko coś, jakby głuchy skowyt. Chciała zerwać się, otoczył ją mocnymi ramionami, począł szarpać na niej suknie.

Widziałem to wszystko i zacisnąłem zęby. Palce moje wbiły się w dłonie aż do krwi, czekałem jednak do ostatniej chwili. Dostrzegłszy wreszcie, że Mariquinha straciła przytomność, jednym skokiem dopadłem młodzieńca, zwałem go z nóg uderzeniem w głowę, niewiele brakowało, a byłbym go rozszarpał. Opanowałem się jednak. Skrępowałem go

tylko, przywiązałem do krzesła, które ustawiłem obok kozetki, usunąłem ślady uczyty ze stołu, zarzuciłem na Mariquinę nową suknię, zająłem się nią tylko, leżącą wciąż bez ruchu.

Ocknęła się dopiero około północy, popatrzyła półprzytomnie. Podałem jej szklanę wody. Pierwsze jej spojrzenie padło teraz na przywiązanego do krzesła młodzieńca. Zerwała się, przerażona.

— Ojczel! Ja się boję! Zabij go! Jak żmiję! Zabij! Ja go nienawidzę!

Uspokoilem ją z trudem. Mówiłem jej, że Pedro jest człowiekiem, a ludzi zabijać nie można, chyba, że oni chcą nam wyrządzić krzywdę i my się broniemy. A on przecież już nam żadnej krzywdy nie wyrządzi, żeby dać tego dowód rozluźniłem więzy, krępujące dotąd młodzieńca, uniosłem go lekko w górę i z wysokości prawie jednego piętra wyrzuciłem daleko na bruk. Mariquinha zakryła oczy.

Usłyszeliśmy jakieś krzyki, wstrząsający hałas na ulicy. Po chwili zastukano do drzwi. Wszedł znający mnie dobrze sierżant policji.

— Ach! To u państwa ten opryszek chciał się zagospodarować? Znamy go! Znamy! Długo będzie ten dzień pamięta! Połamał ręce i nogi. Widocznie pan go spłoszył?

— Tak!

— No, to dziękuję! Nie będę państwu przeszkadza-

dzał. Widzę, że senhorita jest przerażona! Chciałem tylko sprawdzić!

Tyle miałem tylko do czynienia z policją w tej sprawie. O dalsze losy tego złooczyńcy nie pytałem nigdy. A tymczasem Mariquinha dostała gorączki. Na drugi dzień rano już mię nie poznawała. Sprowadziłem wskazanych mi przez profesora czterech najlepszych w mieście lekarzy, czuwaliśmy przy niej wszyscy na zmianę. Co się przez ten czas ze mną działo, tego nie umiałbym opowiedzieć, niewiele zresztą pamiętam. Dopiero trzeciego dnia lekarze wyciągnęli mię z pokoiku Mariquinhi, i jeden z nich rzekł do mnie:

— No, stary! Masz szczęście! Dziewczyna spać będzie jeszcze kilka godzin i przemówi potem do ciebie, jakby nigdy nic! Żyć będzie! Nie bój się! Dobrze ją chowałeś, mocna jest!

Że po tem wszystkim nie oszalałem, to chyba cud. A Mariquinha wracała do zdrowia rzeczywiście bardzo szybko i już po tygodniu lekarze pozwolili jej powstać z łóżka. Twarz jej wyrażała jednak tak głęboki smutek i żal bezgraniczny, że byłem w rozpacz.

Pewnego dnia siedzieliśmy na werendzie w ogrodzie. Począłem jej opowiadać o sobie i jej rodzicach, wyznałem jej wszystko. Słuchała obojętnie. Gdy jednak zacząłem mówić o życiu jej rodziców w puszczy, o tem, jak dzikim, bezkresnym obszarem leśnym

wyrywaliśmy piędź za piędzią, wpatrzyła się we mnie bystro, rumieniec wykwitł znowu na jej wybladłej twarzy, zerwała się wreszcie, zarzuciła mi ręce na szyję i zawołała:

— Nie chcę ludził Tyś mój ojciec! Zastąpisz tego, którego ludzie zabili. Nie chcę mieszkać wśród morderców! Ojciec! Wracajmy do puszczy!

Prośbę swoją powtarzała mi odtąd niemal co godzinę. Przyrzekłem jej wreszcie, że poczynię konieczne przygotowania i że wkrótce z miasta wyjedziemy. Po długich naradach z profesorem postanowiłem jednak nie wracać do puszczy. Zakupiłem spory szmat stepu w stanie Parana, na daleki zachód od Guarapuavy, zajęliśmy starą fazendę. Nawet niebardzo stąd daleko. Jakiś dzień drogi konno. Urządziłem na nowo całe gospodarstwo, jak mogłem najlepiej. Cieszyłem się jak dziecko, widząc, że Mariquinha odzyskuje swój dawny humor.

Lubiła wyjeżdżać konno w step sama. Zawsze jednak wysyłałem za nią dwóch co najdzielniejszych na fazendzie „gauczów“, aby mieli ją na oku i strzegli zdaleka.

I oto pewnego dnia przywieźli mi ją martwą. W pierwszej chwili padłem, jakby gromem rażony na ziemię. Gdy odzyskałem przytomność, wskazano mi już tylko mogiłę na stepie, w gorączce bowiem spędziłem dwa miesiące. Opowiedziano mi, że Mariquinha, zsiadłszy z konia, położyła się na stepie. Nim

„gaucze” do niej dopadli, aby ją ostrzec, skoła, ukaszona w szyję przez grzechotnika.

Rozdałem diamenty wiernej służbie, która mię w mojem nieszczęściu nie opuściła, podpałem dom wraz z tem, co do Mariquinhi należało, i ruszyłem w step, przysięgłszy sobie, że przez ostatnie dni mego żywota tępić będę grzechotniki.

Oto moja opowieść. Czy teraz będziecie jeszcze drwić ze mnie?

* * *

VI

TWARZ W PŁOMIENIACH

Gdy murzyn skończył swe opowiadanie, zapanało wśród nas przykre milczenie. Przerwał je wreszcie nasz włóczęga.

— Daruj — rzekł, ściskając dłoń murzyna. — A jednak to rzeczywiście śmieszne. Albowiem i ja miałem w swem życiu podobny wypadek, z tą tylko różnicą, że działo się to nie tu, lecz daleko, w Indjach, nad Gangesem, że to nie był grzechotnik, a jakaś żmija, której nawet nazwy nie znałem, i że — wreszcie — straciłem odrazu... żonę i dziecko.

Milczałem. Zrozumiałem obydwu. I tego, który chodził po kuli ziemskiej bez celu, aby tylko iść, może uciekać, a zawsze przed siebie, bez oglądania się wstecz, i tego drugiego, kręcącego się wkółko po zamkniętym terenie, wciąż czegoś szukającego, jakby w pogoni za czemś, co było już blisko niego, tuż, tuż, i znikło. Czyż nie byłem szczęśliwcem w porównaniu z takim murzynem?

A słońce tymczasem zaczęło znowu rozsiewać swój żar. Zawiesiwszy więc zasłony nad swojemi głowami z własnych palt, zasnęliśmy wkrótce snem ludzi spokojnych.

Obudziliśmy się dopiero po północy, drżąc z zimna.

— Brr! Chłodno! — zerwał się pierwszy włóczega. Ale przynajmniej wyspałem się znakomicie! Wstawać, „hombres“*)! Zanim słońce błysnie, przejdziemy spory kawał.

Zerwaliśmy się natychmiast. Maszerowaliśmy w rzeźwym chłodzie dwie godziny. Wreszcie poczęło robić się widno. Widnokrąg rozszerzał się prawie co krok. Na skraju stepu wychylił się rąbek słońca i w tej samej niemal sekundzie zajaśniał jego cały krąg, czerwony i jakby przydymiony. Przystanął na chwilę murzyn, patrzył się długo przed siebie, wprost w słońce, rozglądając się na wszystkie strony.

— Chwała Bogu! Jeszcze dużo czasu! Dalej za mną! Do roboty!

I natychmiast zrzucił z siebie worek, wyładowany mąką manjokową, „szarką“, tytoniem, zrzucił marynarkę, pozostał jeno w koszuli. Schwycił fakon i wycinać począł trawę.

Wiedzieliśmy, co to znaczy. Bez straty czasu poszliśmy za jego przykładem. Cięliśmy trawę zaciekle na jakie dwa metry szerokim szlakiem w duże koło.

*) Ludzie.

* * *

Słońce tymczasem znikło zupełnie w chmurach dymu. Rozróżnialiśmy już woddali zbliżającą się ku nam z szaloną szybkością falę płomieni.

Płonął step.

Skąpani we własnym pocie, zmęczeni aż do utraty oddechu, rzuciliśmy noże. Podpalać poczęliśmy trawę poza wyciętym szlakiem od strony przebytej już drogi.

Zeschła trawa schwytała płomień natychmiast, ogień parł naprzód z niesłychaną gwałtownością. Czasami płomienie rzucały się na źdźbła ściętych przez nas traw, chcąc dostać się w półkoło, które miało nam służyć w pierwszej chwili za wyspę wśród ognia. Deptaliśmy ogniste jęczyczki, przerzucając się z miejsca na miejsce, gdzie tylko dostrzeżliśmy niebezpieczeństwo.

Wreszcie wzniecony przez nas pożar oddalać się począł coraz bardziej.

Wiatr pędził gryzący dym i płomienie, snopy płomieni.

* * *

Wpatrzyłem się bezmyślnie w płonący step.

Chwiały się ogniste jęczyczki, strzelały w górę z hałasem. A dalej już jedna tylko ognista przestrzeń, morze ognia, na którym przelewały się, falowały kłęby czarnego dymu.

Krew zbiegła nagle z mej twarzy, uczulem martwość policzków.

Poprzez płomień wychylała się ku mnie twarz, twarz ludzka, zupełnie wyraźna, znana mi dobrze, niezapomniana:

Czarne oczy świeciły jasnymi źrenicami. Rozszerzały się, rosły, świeciły jak dwa słońca. Palić mnie począł ich żar.

Rozchyliły się usta jakby w uśmiechu, ponętne, kuszące. Potem ściągnęły się znowu, zacisnęły jakby w bolesnym skurczu.

Oczy zakryły się mgłą niezmiernego smutku, twarz poczęła się oddalać, blednąć.

Otoczyły ją dymy. Znikła bezpowrotnie.

Napróżno przecierałem oczy. Daremnie patrzyłem uporczywie w to miejsce, w którym znikła.

Kłębiły się jeno dymy, miały się płomień.

* * *

Ocknąłem się dopiero na głos murzyna.

— Oddalimy się stąd. Ogień się zbliża.

Rozglądałem się, jakby zbudzony ze snu.

Przed nami leżała spora już przestrzeń opalanej ziemi, pokrytej sinym, tu i ówdzie czarnym popiołem traw. Silny zapach pogorzeli drażnił, męczył.

Już przebiegać poczęły obok nas przeróżne stepowe stworzenia, wylękle, na nic nie zwracające uwagi. Wychylały się z traw żmije, tysiące wszelkiego robactwa. Powietrzem mknęło hałaśliwie ptactwo z piskiem i wraskiem wielkim, obsiadając czerwone kopce termitów na wypalanej części stepu,

Już wiatr donosił ku nam żar, gryzący dym. Słyszeliśmy potężny trzask palących się traw.

Pobiegliśmy za wywołanym przez nas ogniem, otoczeni dokoła płomieniami. Płuca z trudem chwytaly resztki powietrza, raz wraz wstrząsał niemi kaszel.

* * *

Staliśmy, wsłuchani w zgiełk.

Płomień zbliżyły się wreszcie do wypalanej już części stepu, zamierały z ostatnim trzaskiem. Daleko po bokach zetknęły się z sobą dwie fale płomieni. Zakotłowało się. Trzask poszedł potężny.

Wreszcie dym rozwiął się po stepie.

A daleko za nami posuwała się jeszcze naprzód ściana ognia. Wiedzieliśmy jednak, że już niedługo. Płomień mógł dojść tylko do wąwozu, w którym nocowaliśmy, i tam, napotkawszy piasek i skały, zginąć musiał ostatecznie.

Ruszyliśmy znowu przed siebie, leniwo, ospale.

* * *

Nie mieliśmy najmniejszej ochoty do rozmowy. Szliśmy ostatkiem sił.

Ciężyć mi poczęło towarzystwo ludzi, ustawicznie stawała mi przed oczyma twarz, widziana w płomieniach.

Nareszcie rzeka, Runęliśmy w cień na jej brzegu jak glazy.

Leżąc półprzytomny, myślałem bez przerwy o zja-

wie. To była Rica. Jej twarz. Gdzie ona teraz? Takie smutne oczy! Czy jej się co złego nie stało?

Zapamiętałem dobrze datę: trzynasty kwietnia.

* * *

Gdy słońce zeszło z zenitu, przygotowaliśmy sobie posiłek. Spożyliśmy go, milcząc.

Powstałem.

— Żegnajcie — powiedziałem do niezdziwionych tem bynajmniej towarzyszków. — Mam dosyć stepu. Chcę widzieć prawdziwe morze, ocean, nie morze płomieni. We dwóch pójdziecie w dalszą drogę. Wspominajcie czasem przygodnego kompanjona.

Krótki uścisk dłoni, „abraçamento“*). Żegnaliśmy się tak, jakgdybyśmy mieli spotkać się znowu, za chwil kilka.

Ponury murzyn szedł dalej szukać grzechotników, wesoły włóczęga uciekał nadal przed strachem swoich wspomnień, a wślad za mną chodzi odtąd wszędzie zjawa, widziana wśród płomieni. Śni mi się, gdy śpie, gdziekolwiek popatrzę, wszędzie, wszędzie widzę twarz Riki, twarz w płomieniach.

*) Brazylijski sposób pożegnania,

EPILOG

Po kilkunastu długich dniach niezbyt miłego kołysania się na kapryśnych falach Atlantyku stare niemieckie pudło, szumnie zwane „okrętem morskim“, zbliżyło się nareszcie do brzegów Brazylii.

Któż zdoła określić tę radość, z jaką pasażerowie wołali:

— Łądl... Widać łądl... Brazylja!...

Woddali widać ciemno-siną smugę łądu pod baldachimem pełnych żaru promieni słońca, coraz bliższą, coraz wyraźniejszą. Ukazują się jakieś dachy czerwone, potem białe domy, a w niewygodnej, zupełnie otwartej zatoce kilka małych statków.

To Bahja.

Z głośnym turkotem łańcucha chlusnęła w wodę kotwica.

Stoimy! Nareszcie!

Podjeżdża jakaś motorówka z żółto-zieloną flagą, a ponieważ dosyć duża fala nie pozwala na spuszczenie schodów, przeto w klatce unoszą z niej w górę

i wyrzucają na pokład jakiegoś umundurowanego urzędnika z cesarską niemal miną na puciołatej, ciemno-brązowej gębie. Zabiera go z sobą kapitan.

Motorówka oddała się szybko.

Podnoszą kotwicę! Czyżbyśmy mieli płynąć dalej?

— Płonne obawy.

Okręt nasz podpływa bliżej do brzegów, gdzie woda jest nieco spokojniejsza.

Znowu tak miły dla ucha turkot kotwicznego łańcucha!

W jednej chwili otacza nas setka małych łodzi; w nich czarni brązowi i biali nurkowie, skaczący w wodę za rzuconą ze statku monetą, handlarze cygar, bananów, pomarańcz...

* * *

Więc... już Brazylja!

Iluż to dotychczas śniło już o niej Polaków, iluż śni jeszcze dzisiaj, lub śnić będzie jutro?... Któż ich policzy?

Brazylja!

Iluż to jeszcze z tych, którym na starych źle jest śmieciach, poprzez ocean na drugą przepawi się półkulę — za chlebem?... Któż zdoła to przewidzieć?

Brazylja!

Iluż to jeszcze z tych, którzy na własne oczy „krzyż Południa“ oglądali, wróci zpowrotem do „sta-

rego“ kraju, bo... w domu najlepiej?... Któż ich powita?

Brazylja!—Kraj słońca, wolności i wiecznej zieleni, kraj ponurych i groźnych puszcz dziewiczych i szarych „campos“—stepów bezkresnych!

Brazylja! Kraina żółtego złota, białych diamentów i fioletowych ametystów, kraina kawy, pomarańcz, cytryn, fig, bananów i ananasów!

Brazylja! — Kraina krwiożerczego jaguara, olbrzymiego węża „boa dusiciela“ i jadowitego „grzechotnika“, wielu, wielu setek gatunków żmij i całych chmur moskitów, komarów i much!

Brazylja! — „Affenland“! — „kraj małp“, „małpi kraj“!

* * *

Wiele już pisano o Brazylji, a jednak temat ten wciąż jeszcze aktualny, zawsze interesujący i wiecznie nowy.

Bo „któż zbadał puszcz brazylijskich“ przepastne głębiny, kto zmierzył je od Amazonki aż po Urugwaj i Argentynę, od Atlantyku po Paragwaj, Peru i Boliwję? — Niejednej jeszcze pędzi tej ziemi nie tknęła stopa białego człowieka.

Bo któż poznał jej dzikich, pierwotnych panów, Indian, skazanych bezlitośnie na nieuniknioną zagładę?—Zabija ich kultura ludów Europy.

Bo któż wskaże wszystkie złoża diamentów, żyły

złota i gniazda ametystów?—Przez wieki jeszcze całe
leżeć one będą ukryte w głębi brazylijskiej ziemi.

* * *

Kilka godzin postoju w Bahji upływa szybko.

Pod wieczór ruszamy dalej.—Dwa jeszcze dni nie-
przyjemnej podróży — rozkołysane u brzegów fale
miotają statkiem na wszystkie strony, niby łupinką—
i trzeciego dnia znowu zbliżamy się do lądu. Znowu
podjeżdża łódź, wysiada z niej wielce ze swych funk-
cyj dumny jegomość—przewodnik i... wjeżdżamy do
portu.

Szybko zapadła noc.

Za nami, na stożkowatej górze, przypominającej
kształtem głowę cukru i stąd „Pão d'assucar“ zwa-
nej — jaśnieje kilka światełek. Nieco niżej, na zbo-
czu od strony wejścia do zatoki, niktę światełka w
oknach fortu. Na wzgórzach wokoło migocą światła
to tu, to tam. Na prawo cała sieć światełek. Na le-
wo szeroki, rozpostarty łukiem łańcuch rozgorzałych
nad zatoką lamp. W nadbrzeżnych alejach niby błęd-
ne ogniki migają reflektory samochodów. Tuż blisko
nas lampki „plywaków“, nawprost ostrzegawczo pło-
ną czerwone latarnie innych okrętów, za niemi świa-
tła zabudowań portu i wreszcie — w morzu światła
miasta.

Wszędzie światła i światełka.

To Rio de Janeiro, największa zatoka świata, a za-
razem największe miasto Brazylii.

* * *

Na zboczach wzgórz, między którymi leży miasto,
wspaniałe wille kryją się w cieniu wyniosłych, dostoj-
nych palm i zgryźliwych, chudych bambusów.

Wdole miasto. Jedne ulice szerokie i wygodne,
domy przy nich obszerne, bez ogrodów, inne wąskie,
ciche, czyste. Tu i owdzie ładny skwerek, wspaniała
aleja. W centrum miasta dość dużo parków — „pas-
seros publicos“, bliżej przedmieść coraz więcej ziele-
ni, ogródków, pysznych will i... nędznych chat. A po-
tem nagie skały, poza górami step i dziki las.

Tu kultura zupełnie europejska, tam, kilka niemal
kroków dalej—dzicz, pierwotna jeszcze i tak dla Bra-
zylji charakterystyczna.

Kultura posuwa się wolno wzdłuż szlaków dróg.

* * *

Jest godzina piąta po południu.

Na ulicach miasta ruch. Na „Avenida Rio Bran-
co“ snują się strojne beztroskie tłumy.

Szeregi aut z roześmianymi pasażerami dążą na
Avenida „Beira Mar“, na „Pão d'assucar“ lub „Praia
da Leme“. Inne kierują się w stronę ogrodów—bo-
tanicznego (—non plus ultra!) i zoologicznego (—dziu-
ra, daleko za miastem, choć... interesujący!)

Stoliki w „cafés“—zajęte wszystkie.

Nagle gdzieś woddali sygnał dzwonek, ustawiczny, głośny, przenikliwy. Wznoszą się do góry pałeczki policjantów, na jezdni cały ruch nagle zamiera, a środkiem mknie z szaloną szybkością—karetka pogotowia. Zadzwoniły ostro dzwonki, pozostał mały obłoczek dymu... pałeczki policjantów opadły, szeregi aut posuwają się znowu naprzód.

* * *

Trudno sobie wyobrazić Rio bez „café”.

Przypomina „café” naszą kawiarnię czy cukiernię z tą różnicą, że na każdym stoliku stoi już kilka dnem do góry, na małej tacy ustawionych małych filiżaneczek i cukierniczka. Amatorzy kawy wchodzi w milczeniu, siadają—milcząc—przy stolikach i odwracają—hałaśliwie—filiżanki, stawiając je w pozycji normalnej—natychmiast podchodzi do nich usłużny kelner; wychodzi się z „café” zaraz po wypiciu kawy, nie zajmując miejsca napróżno.

Kawy czarnej pije się w Brazylii dużo, bardzo dużo, niemal tyle, ile „kaszasu”, tej niesłychanie z początku dla Europejczyka niemiłej—ze względu na zapach—wódki z trzciny cukrowej.

To też kawiarnie są tam rozrzucone po wszystkich miastach dosyć gęsto. A nazywają się například: „Café Santos”, „Café Rio”—i nie bez powodu. Smakosz odróżnia bowiem łatwo smak i zapach kawy z plantacji bardziej na południe wysuniętych „esta-

dos“*) od smaku i zapachu kawy ze stanów północnych—Rio, Minas Geraes**) i innych.

A może mu się tylko zdaje, że odróżnia? W każdym razie pije on czarnej kawy bardzo dużo.

Jakież więc nerwy mają ci nieszczęśnicy, którzy od małego dziecka karmieni są mocną czarną kawą?

Hm?! Odpowiedź niełatwa, zdaje się jednak, że wcale—nieźle. Kawa bowiem w Brazylii „robi swoje”—jest doskonałym antidotum, wyborną odtrutką przeciwko zabójczemu działaniu podzwrotnikowego słońca.

* * *

Wychodzisz z „café” na ulicę. — Porywa cię natychmiast fala ludzka i unosi.

Zboku wrzeszczy ci na ucho jakiś dryblas: „A Tribuna”, „A Republika” „O Correio” lub inną jakąś nazwę dziennika, albo „Tico, Tico e o Malho“***), albo wreszcie „Grande sorte, grande sorte”, „Amanhã grande sorte, duzentos contos“****).

Ulica roi się od sprzedawców biletów loterii, czyli że wszyscy kupują. Na loterii grają wszyscy.

Europejczyk, który świeżo przybył do Rio i po raz pierwszy wyszedł na ulicę pod wieczór, odnosi

*) stanów.

**) czytaj Minas Geraes.

***) czytaj: Tiko, Tiko i o Maljo—nazwa ilustrowanego czasopisma—magazynu.

****) Wielki los. Jutro wielki los, dwieście tysięcy milrejsów (dwieście milionów rejsów).

wrażenie, że Brazylijanie właściwie tylko piją „czarną“, jeżdżą taksówkami na „Pão d'assucar“, „Praia da Leme“ lub coś w tym rodzaju i... grają na loterii.

Wrażenie to jest całkowicie fałszywe.

Mieszkańcy Rio de Janeiro pracują i to zupełnie solidnie. Żebraków tam „prawie“ niema, a przynajmniej nie widać ich na głównych ulicach.

* * *

Wyobraźmy sobie, na przykład, nasze najskwarniejsze polskie południe lipcowe, dodajmy do tego kilka stopni Celsjusza, a będziemy mieli—fałszywe zresztą również—pojęcie o przedwieczornej godzinie styczniowego dnia w Rio de Janeiro. Słowem—gorąco „jak się patrzy“, parno, duszno i... smrodliwie—od różnych „loriganów“, „kotich“, rozgrzanego asfaltu, „gazoliny“, zastępującej naszą benzynę, i t. p. I oto w taką chwilę brazylijska piękność (dosłownie!), przypuśćmy—czternasto lub piętnastoletnia, wychodzi na ulicę w cieniusieńkiej, przezroczystej sukieneczce, przez którą doskonale przebija ładne i czyste „combinaison“, i... w ciężkim kołnierzu futrzanym na szyi.

A pochodzi to stąd, że do Rio—i Brazylii wogóle—dochodzą w styczniu paryskie „żurnale“—z grudnia. Oczywiście, w styczniu jest w Paryżu zimno, a w Brazylii właśnie pełnia letnich upałów, ale to nic!

W naszym wypadku sytuacja ta bynajmniej nie przynosi ujmy, ani też nie ujmuje wdzięków—brazylijskiej płci pięknej.

Brazylijki są istotnie piękne i to bez względu na krew, jaka w nich płynie, bez względu na to, czy to będzie kreolka, czy mulatka, czy czystej krwi Włoszka, urodzona w Brazylii, czy nawet... Indjanka.

Co do tych ostatnich—małe zastrzeżenie. Są pięknosciami w swoim rodzaju, ale tylko do lat jakich jedenastu, dwunastu. Pierwszym mogę przedłużyć okres piękności do lat szesnastu, ośmnastu, lub—niech stracę—nawet dwudziestu.

A co potem?

O tem lepiej już nie mówmy.

* * *

Główną przyczyną wczesnego starzenia się jest w Brazylii—oczywiście—klimat, nawiasem mówiąc, zupełnie warjacki.

Taka rozległa przestrzeń, jak ta, którą zajmuje Brazylija, nie może mieć jednego tylko klimatu, należałoby więc raczej mówić o klimatach, a nie o klimacie brazylijskim.

Podczas kiedy północne stany Brazylii mają klimat tropikalny ze wszystkimi jego konsekwencjami, stany południowe, mają klimat umiarkowany, zbliżony do klimatu Europy południowej.

Klimat tropikalny zachodzi jednak w Brazylii da-

leko na południe, poza dwudziestą trzecią równoleżnik, na którym leży Rio de Janeiro. Jak taki klimat wygląda, można doświadczyć na własnej skórze w takim Santos (port stanu S. Paulo), a nawet w Paranaguà, w stanie Paraná.

Otóż w takiej Paranie cały pas ziemi nad Atlantykiem, aż do gór „Serra do Mar”, których najwyższym szczytem jest „Marumb’y”, posiada klimat istotnie tropikalny. Malarja, żółta febra, nieznośne upały, wilgoć—oto jedne z wielu cech tego klimatu. Natomiast po dwóch godzinach jazdy koleją można się z tego niemal kotła wydostać za góry, na wyżynę, gdzie w porze zimowej zdarzają się nawet przymrozki.

Bywa jednak i inaczej.

W pewnej pagórkowatej miejscowości na jednym z takich pagórków wcale niewysokich kwitną wspaniale i dają owoce pomarańcze, cytryny, brzoskwinie, a u stóp tegoż pagórka, zaledwie o jakich czterdzieści lub pięćdziesiąt metrów niżej—mróz zniszczy kwiat, zanim się owoc zawiąże.

Albo na przykład, w okolicach, w których temperatura spada w porze zimowej do czterech stopni Celsjusza niżej zera—w nocy mróz, rano, gdy zaświeci słońce, upał. Albo w słońcu zrzucać trzeba marynarkę, a w cieniu trząsie się człowiek z zimna, albo też—w nocy usnąć nie można z powodu gorąca, nad ranem zaś człowiek budzi się zmarznięty.

Do „przyjemności” klimatycznych należy w pew-

nych okolicach Brazylii pora deszczowa, stanowiąca tamtejszą zimę. Zacznie sobie pewnego dnia padać gęsty „kapuśniaczek” i pada—kilka miesięcy dzień i noc bez przerwy.

Nic dziwnego, że ludziska starzeją się w tych warunkach tak szybko. Ot, chociażby z samych nudów.

W głębi kraju jest ponadto jeszcze jedna ważna przyczyna wczesnych zmarszczek na twarzy kobiet. Jest nią—dym.

Wyobraźmy sobie sklecony tylko z pojedynczych desek dom o jednej tylko izbie, bez sufitu. Na środku tej izby płonie wieczne ognisko, przy którym kobieta spędza dzień i noc. Żar ognia, snujące się po izbie obłoki gryzącego dymu—wszystko to nie sprzyja konserwacji pięknej cery.

Nawet u większości polskich osadników, których domy dzielone są na kilka pokoi—sypialnie, gościnnie, jadalne i t. p.—kuchnia mieści się zwykle w jakiejś przybudówce lub szopie, a stanowi ją zwykle, na ziemi rozpalone ognisko.

W mieście tego rodzaju stan rzeczy jest—rzecz zrozumiała—wykluczony.

* * *

Rio de Janeiro ma jeszcze jedną bardzo ciekawą osobliwość.

Oto... żółtej febrzy „prawie” już w niem niema. Znowu sytuacja istotnie fałszywa.

Nie tak to dawno jeszcze komary i moskity nie pozwalały tam spać bez siatki nad łóżkiem, nie tak jeszcze dawno w pewnej porze roku połowa co najmniej mieszkańców miasta uciekała przed żółtą febrą w góry (niezbyt to zresztą daleko!), a dziś?

Dziś żółtej febrы w Rio de Janeiro „prawie” że niema. Oczywiście znowu — „prawie”, bo czasami wbrew oficjalnym zapewnieniom i mimo istotnie olbrzymiego wysiłku rządu i władz municypalnych, wyrzucających wprost bajońskie sumy w błoto (to jest na walkę z błotem, bagniskami) — żółta febra daje znak, że jeszcze istnieje.

A choroba to średnio-przyjemna. Podobno trzech jej ataków nie wytrzymałe najsilniejszy organizm, zdarzają się zaś wypadki śmiertelne już przy pierwszym. Niektórzy twierdzą, że żółtej febrы można uniknąć, pijąc dużo „kaszasu”, inni doradzają chinine, inni wreszcie poprostu opuszczenie miejscowości febrycznej. Nietrudno zgadnąć, którzy z tych doradców mają najwięcej racji.

* * *

Żółta febra — to jednak jeszcze nie wszystko. Bo grasują tam również niezgorzej malarja i tyfus, a i szkarlatyna jest w Brazylii bardzo niebezpieczną.

A przed kilku laty obfite żniwo śmierci zbierała w całej Ameryce południowej i grypa — „hiszpanka.”

Marli wówczas ludziska straszliwie, nieraz z całej licznej rodziny nikt przy życiu nie pozostawał.

* * *

„Kaszas” ma w Brazylii powodzenie.

Robi się go najwyczejniej w świecie, w najprymitywniej nawet urządzonej „fabrykach wódek i likierów” z trzciny cukrowej. Produkt nierektyfikowany albo też źle oczyszczony. Odnacza się tak nie miłym zapachem, że zdawałoby się, iż jest absolutnie wykluczone, aby się ktoś mógł do tego napoju przyzwyczaić.

A jednak!

Natomiast „kaszas” kilkuletni, nawet już po ośmiu latach fermentacji w beczce, to istotnie niezły koniak.

O powodzeniu „kaszasu” świadczy mnóstwo nazw: „aguardente”), „pinga”, „mata bicho”), „mata sede”, „mata frio”, „mata fome” i wiele innych, naogół skombinowanych ze słowem „mata”. „Matar” znaczy zabijać. Więc „kaszas” jest napojem, który zabija „a fome” — głód, „o frio” — zimno, „a sede” — pragnienie, „o bicho” — robaka, a poza tem składa się z kropel — pinga i jest napojem palącym, wodą palącą — aqua ardente.

„Kaszas” używany jest w Brazylii jako dosyć skuteczny środek leczniczy w kilku wypadkach. Jeżeli,

*) czytaj aglarde'nte.

**) czytaj „mata bi'szo”.

naprzykład, ukąsiła kogoś jadowita żmija, a niema pod ręką odpowiedniego „serum“, aby zrobić zastrzyk, wówczas ukąszony wypija butelkę „kaszasu“ i biegnie przed siebie naoslep, dopóki nie padnie ze zmęczenia. Sposób ten jest w głębi lasów praktykowany i dziś jeszcze, chociaż preparaty instytutu w Butantan znaleźć można naogół wszędzie, gdzie tylko osiedliła się większa gromada ludzi.

Ciekawy jest sposób picia „kaszasu“ w lasach. Odbywa się to w sposób następujący. Zebrało się w „wendzie“*)—przypuśćmy—dziesięciu znajomych. Jeden z nich „funduje“. Właściciel „wendy“ nalewa jeden kieliszek, „fundujący“ bierze go do ręki, wypowiada sakramentalne; „prosit“ i macza wargi w wodce, poczem kieliszek wędruje z ręki do ręki, każdy upija po kropelce, ostatni wychyla resztę i „funduje“ nowy kieliszek. Potem znowu trzeci, czwarty i t. d. aż do dziesiątego.

Niechby tak który odmówił! Biada mu! Musi przynajmniej wziąć kieliszek do ręki i oddać go towarzyszowi. Wówczas jest—„w porządku.“

* * *

Hiszpanek i Hiszpanów jest właściwie w Brazylii bardzo mało. Czują się oni dużo lepiej w innych republikach południowej Ameryki, używających języka hiszpańskiego.

***) „wenda“ oznacza sklep, w którym można dostać wszystko.

W Brazylii natomiast łatwo jest spotkać murzy-
na, Niemca, Anglika, Chińczyka, Żyda (Syrjczyka),
a zwłaszcza Włocha i Portugalczyka.

Szczególnie ci ostatni przybywają tam masowo na sezonowe roboty na plantacjach kawy, bawełny, trzciny cukrowej, ryżu, tytoniu i kauczuku, poczem wracają do ojczyzny, aby wylegiwać się do góry brzuchem i zajadać „laranże“**) tak długo, dopóki mogą zarobione w Brazylii milrejsy „słabe“ zamieniać na „mocne.“**)

* * *

W całej Ameryce południowej oprócz Brazylii używany jest język hiszpański, jedynie Brazylija posługuje się językiem portugalskim, należycie wypaczonym. Zaciekle spory, staczane w Brazylii na temat języka „brazylijskiego“, nie zmieniają istoty rzeczy. Bo czyż zdoła wytworzyć nowy język niezbyt wielką ilość słów, zapożyczonych od właściwych mieszkańców Brazylii—Indjan? Czy może zdoła to uczynić pewna zmiana wymowy? Nie! Pisownia jest ta sama, gramatyka ta sama, więc może być mowa tylko o większej lub mniejszej ilości „brazylizmów“, wprowadzonych do języka portugalskiego. A wymowa? Wymowa brazylijska języka portugalskiego wy-

*) Pomarańcze.

**) Zarówno w Brazylii jak i w Portugalji waluta nazywa się „milrejssem“, tylko waluta portugalska jest mocniejsza.

maga mniej wysiłku ust i gardła, jest „piu dolce”, łagodniejsza, miłsza.

Nie miał też zresztą racji wielki i nieśmiertelny Camôens, kiedy sądził, że język portugalski jest „prawie czystą łaciną.” Z łaciny niewiele już w całej portugalszczyźnie zostało.

Poza tem naleciałości języka czy też języków różnych szczepów Indjan w obecnym dialekcie brazylijskim wskazują na to, że Indjanie brazylijscy mieli wcale dobry słuch.

Język Indjan ma swój dźwięk i... wdzięk. Weźmy dla przykładu słowa: „Marumby”, „Iguassu”, „barbaqua”, „curú”, „Caracú”^{*)}.

* * *

Kto chce w Brazylii żyć, musi się nauczyć języka portugalskiego.

Możesz posiadać w walizie pięć dyplomów doktorskich, możesz być chodzącą encyklopedją, mimo to jednak jeżeli nie będziesz umiał rozmówić się z Brazylijczykiem w jego ojczystym języku—nic nie zdziałasz. Znajomością innych obcych języków Brazylijczynom trudno jest zaimponować. Każdy inteligentniejszy Brazylijanin zna ich kilka.

Będziesz natomiast „homena inteligente”—czło-

^{*)} czytaj: Marumbi, Iglasu, Barbakła, kuru, karaku—wszystko z akcentem na zgłosce ostatniej.

wiekiem inteligentnym, jeżeli—jako obcokrajowiec—będziesz mówił dobrze po portugalsku.

Dobrze mówić po portugalsku jest jednak w Brazylii dosyć trudno. Brazylijczyk wykształcony lubuje się bowiem w „wykwintnej” mowie, dobiera słów najmniej używanych, sztucznie konstruuje zawile okresy, chętnie posługuje się synonimami, dwuznacznikami.

Zato język kabokla z lasów i stepów jest bardzo skromny. Zdania krótkie, ciężkie, jedne i te same słowa powtarzają się często. Myśli proste, więc i mowa prosta.

* * *

Wspomniałem już, że Indjanie południowo-amerykańscy (podobnie zresztą jak i północno amerykańscy) są skazani na wymarcie i to dzięki kulturze, względnie cywilizacji europejskiej.

Istotnie! Indjan zabija [to, co im Europejczycy przedewszystkiem przynieśli: ograniczenie swobody, alkohol, tytoń i... choroby.

Indjan zapędzono w głąb kraju, wydarto im ziemię, której byli pierwszymi panami, a wzamian za to—dano im wódkę, stare koszule i cylindry, podarte spodnie i... trochę świecidełek, wymienianych za złoto, skóry, diamenty...

Niewielu już Indjan zostało przy życiu.

Nielicznymi potomkami dumnych ongiś władców

stepu i puszczy dziewiczej opiekuje się teraz rząd brazylijski, dostarcza im żywności w czasie głodu, lekarstw w czasie epidemji i uczy... czytać i pisać...

Lecz czyżby tylko po to, aby umieli pisać testamenty?...

Resztki najdzikszego, najgroźniejszego i dziś jeszcze niebezpiecznego plemienia „bugrów” schroniły się w głąb puszczy, uciekły przed ludźmi, uciekają przed nimi nadal i żyją jak dawniej dziko i swobodnie. Łuk z zatrutą strzałą, nóż kamienny lub kościany — oto doniedawna jeszcze ich broń. A dziś? — Dziś mają już oni i broń palną, i noże stalowe, a wszystko to przeważnie zabrane — przy „sposobności” — człowiekowi białemu.

Są też jeszcze w Brazylii okolice, gdzie słowo „bugre” jest nietylko używane na postrach... dla dzieci. Budzi ono tam poważną nieraz obawę i u starzych, zahartowanych w walce z dziką przyrodą i dobrze uzbrojonych osadników.

Bugrzy umieją bowiem przyjść cicho i niespodziewanie, umieją zrabować kilka sztuk bydła ze stada i uprowadzić w puszcze, czasem splondrować chatę osadnika, a nawet — w razie oporu — wszystkich jej mieszkańców wymordować.

* * *

Natomiast słowo „a morte” — śmierć, nie przeraża prawdziwego Brazylijczyka. „Morreu” — umarł...

to trudno! A czy umarł z tego powodu, że ukąsiła go żmija, czy też dlatego, że dostał kulą w łeb lub nożem w bok, czy — wreszcie, że syfilis strawił jego rdzeń pacierzowy — to wszak wszystko jedno. — Morreu (promptol*) — Umarł i kwita!

Ta śmierć, która przychodzi znienacka, skądś z boku, śmierć, której się tak boi zniewieściały Europejczyk — niewiele przysparza kłopotu brazylijskiemu „kabokłowi”. Nie myśli o niej. Bywa na nią zbyt często narażony, aby mógł jeszcze o niej myśleć.

Zresztą, czy wogóle warto o czym myśleć?... Szkoda czasu.

W kraju, w którym mówi się tylko: „już” i „natychmiast”, a nigdy: „za chwilę”, w kraju takim niema czasu na myślenie.

Cóż z tego, że to „już” i „natychmiast” oznacza w rezultacie: „może jutro, może pojutrze, a może nigdy”.

Przecież czas wiąże się z przestrzenią, a w Brazylii (nie tej z Rio de Janeiro, São Paulo i innych stolic i miast, ale w tej właściwej Brazylii, w głębi kraju) sąsiad od sąsiada oddalony jest nieraz o kilka dni konnej jazdy. Bagatela!

Pytasz np. o drogę spotkanego jakimś cudem człowieka, a on ci odpowiada:

— Jedź prosto aż do wąwozu, potem na lewo do

*) Czytaj: morreu i pronto.

skął, stamtąd skrećisz na prawo aż do wielkiego kamienia, potem pójdziesz prosto aż do pinjorów, potem znowu skrećisz na lewo, przejedziesz przez rzekę i... zobaczysz fazendę Joana. To niedaleko. Elle é meo visinho *).

Dziękujesz za tak dokładne wskazówki i dajesz koniowi ostrogi.

Jedziesz prosto dwa dni i dwie noce, zanim napotkasz wąwóz, tu skrećasz na lewo i jedziesz znowu cały dzień, zanim dostaniesz się do skał, czwarty i piąty dzień galopujesz bez przerwy na prawo, a tu „wielkiego kamienia“ jakoś ani śladu. Znajdziesz go — przypuśćmy — szóstego dnia, ale i wówczas nie masz zielonego pojęcia o tem, kiedy nareszcie dotrzesz do fazendy Joana...

Wszystko to jednak „não faz mal a ninguem“ **) — nie szkodzi nikomu.

Czasu mają wszyscy dosyć, prawie tyle, co „cierpliwości“, tej zaś niemniej niż przestrzeni.

* * *

Wszystko to właściwie przypomina bardzo wyraźnie i Polskę, co do czasu — oczywiście — i cierpliwości, a nie przestrzeni.

Co innego bowiem z przestrzenią. Tej brak nam oddawna.

*) Czytaj: elle e meu vizinho — on jest moim sąsiadem.

**) Czytaj: nã faz mal a ningẽm.

A w Brazyliji?

Tu step lub puszcza, tam bagna lub góry, a wszystkiego dużo, bardzo dużo, bo przeszło osiem i pół miliona kilometrów kwadratowych. Całe mile kwadratowe czekają jeszcze na białego człowieka.

To też biały człowiek idzie w te stepy i lasy coraz dalej, coraz głębiej. Idzie szybkim krokiem, śpieszno mu.

Idzie i grabi.

Bo jakżeby inaczej!

Gdzie spojrzysz, to las, bór, puszcza dziewicza, gąszcz nieprzebyty (dlaczego zwą go „dżunglą“, kiedy Brazylijczyk nie wie, co to za zwierz ta dżungla?).

Więc tniesz odwieczne imbuje, cedry, ipé, pinjory i palisz. Wśród napół zwęglonych pni sadzisz kukurydzę, bataty, ziemniaki... A gdy po dwu lub trzech latach ziemia nieco wyjałowuje, znowu tniesz las i palisz.

Znikają więc odwieczne puszcze i kiedyś znikną wreszcie. Ale kiedy? „Quem sabe isso?“ — Kto to wie?

Albo znowu — gdzie spojrzysz — step, a na nim stada półdzikich koni i krów.

Gdy w jednym miejscu trawa już zbyt jest wygnieciona lub też przez słońce spalona, przychodzi „wakeiro“ *) i... podpala step.

*) południowo-amerykański cow-boy.

Sucha trawa płonie rażno, wiatr pędzi płomienie, pożar szerzy się gwałtownie — aż do zakreślonej mu zgóry przez człowieka granicy: rzeki, strumienia, wydmy piaszczystej, wypalanej już uprzednio części stepu.

A po najbliższym deszczu pogorzelisko pokrywa się znowu śliczną, świeżą zielenią.

* * *

Tak gospodaruje człowiek w Brazylii od wieków. Nieinaczej też postępują i osadnicy polscy.

A jest ich w Brazylii już garść dosyć spora: liczą tam Polaków na dwieście tysięcy głów. Połowa z tego od czasu do czasu myśli o „starym kraju“, mała zaś ledwie część tęskni jeszcze za strzechą rodzinnej chaty, a tylko niewielu, bardzo niewielu — zamierza powrócić.

Dlaczego?

Rzecz prosta. Pobudowali tam swoje domy, a przecież — w domu najlepiej.

Młode natomiast pokolenie uczy się myśleć — po brazylijsku, zapomina języka swoich ojców, starych zwyczajów i obyczajów, wynaradawia się zwolna, ale stale, nieuchronnie.

A jednak można temu zaradzić!

* * *

Najwięcej Polaków osiedliło się — ze względu

na klimat — w stanach południowych: Paraná i Rio Grande do Sul.

A za sąsiadów mają oni od południa: Niemców, zwartą masą osiadłych w Santa Catharina, od północy zaś ruchliwych skrzętnych i pracowitych, choć mocno hałaśliwych Włochów — w stanie São Paulo.

I jedni, i drudzy naciskają na granice Parany coraz potężniej, jedni z południa, drudzy z północy. Cóż w tem dziwnego, że na południu Parany coraz więcej mieszka Niemców, a na północy — Włochów?...

Niemcy języka swego na obczyźnie nie zapominają i... nigdy nie zapomną. Wyjątki są, bo być muszą. Ale jakież one nieliczne!

Mowa Hindenburgów, Ludendorffów i Wilhelmów znana jest w całej Brazylii. Usłyszysz ją w mieście, i na kolonjach, i w głębi lasów. Towar niemiecki, „made in Germany“, leży na półkach niemal wszystkich sklepów. Książkę lub gazetę niemiecką kupisz lub zobaczysz wszędzie.

* * *

Przyznać jednak trzeba, że i Polacy myślą o sobie i to nawet od dosyć dawna.

Wszędzie, gdzie tylko zebrała się ich garść jaka, rychło wyrastają wieżyczki kościołów, i odtąd głos dzwonka co niedzielę wnika w głąb ponurej puszczy dziewiczej.

Wszędzie, gdzie tylko podrosło młode pokolenie

polskie, wspólnymi siłami budowali osadnicy szkołę, sprowadzali nauczyciela-Polaka i uczyć mu kazali polskie dzieci po polsku i o Polsce.

Ale wszystko to jest skromne, małe, nie wystarczające, bo brak było osadnikom polskim odpowiednich środków, brak poparcia, brak nawet dobrej rady. Nadmiar złego brały się do takiej pracy nieraz ręce niepowołane, pozostawiające po sobie na długi czas niechęć i nieufność do różnych przybyszów z Polski. A bywały też wypadki, że taki przybysz więcej namącił i napsuł, niż wogóle zrobił.

Dzisiaj jest już może nieco lepiej, ale—wiadomo—łatwiej i szybciej można zburzyć niż zbudować.

Mimo wszystko wszakże nie brak jest dowodów wielkiej społecznej pracy kolonji polskiej w Brazylii. Chociażby nawet taka szkoła średnia w Marechal-Mallet (w Paranie), szkoła w Kurytybie (stolica stanu Paraná), Porto Alegre (w stanie Rio Grande do Sul) i tyle innych; albo kościoły, gmachy różnych towarzystw, domów ludowych, albo też tych kilka pism polskich...

* * *

Naogół wszyscy godzą się co do jednego, tego mianowicie, że życie Polaka w Brazylii nie jest lekkie i wesołe.

Cóż więc w takim razie trzyma i nie wypuszcza z brazylijskich puszczy i stepów tych, którzy jeszcze tęsknią „za starym krajem”?

Cóż więc jest powodem tego, że ci, których tęsknota z tych puszczy i stepów zpowrotem w ojczyście strony wygnała, wciąż jeszcze marzą i myślą o Brazylii?

Jakież to są te siły potężne, które nie pozwalają zapomnieć o Brazylii tym, którzy choć raz tam byli? Nawet tym, których wspomnienia z Brazylii fantazja stroić już poczęła w nienaturalne barwy i kształty? I tym, którzy niemal wczoraj dopiero pełni rozczarowania uciekli? I tym, którzy o ponownem oglądaniu „krzyża Południa“ już nawet... nie marzą?

Sądzę, że nic innego, tylko ta wielka, naprawdę wolna i swobodna, nieskrępowana przestrzeń, ani czasem, ani barbarzyńskimi węzłami ludzkich wy-mysłów, „praw“ i „konwenansów“ — swoboda.

Sądzę, że nic innego, tylko ta dzika, lecz prosta i szczerą przyrodą.

Sądzę, że nic innego, tylko ta wieczna, choć smutna zieleń, a — przedewszystkiem — to jasne ciepłe słońce, słońce i jeszcze raz — słońce.

KONIEC

SPIS ROZDZIAŁÓW:

I. W karnawałową noc.	5
II. Jak żmija.	20
III. Dziewczę z dziewiczej puszczy	62
IV. Grzechotnik.	87
V. Opowiadanie murzyna.	94
VI. Twarz w płomieniach.	123
Epilog.	129

Biblioteka Groszowa (Warszawa, Moniuszki 11) poleca:

z literatury polskiej:

Adamowicz B.	Triumf złotyeh
Baranowski	Romans Sekr. poselstwa (2 tomy)
Babka	Tajemniczy podrózny.
Dankowski G.	Pociąg
Dygasiński A.	Z pod ciemnej gwiazdy
„	Złamane życie
„	Na warszawskim bruku
„	Wasciele
„	Von Molken
„	Na złamane karku (2 tomy)
„	Zajac
„	Pan Jedrzej Plazczalski (2 tomy)
„	Gracz
„	Słodme Amen
„	Nowele
„	Ostatnia butelka (2 tomy)
„	W legji cudzoziemskiej
„	Na bruku
„	W latarni
„	Spekulant
„	Hrabina Cosel (2 tomy)
„	Ostatni z si-kierzyńskich
„	Chata za wsią (2 tomy)
„	Powrót Beatryczy
„	Ba ecznie kolorowa
„	O dzielniach, wariatach i grafie-
„	Partija [manach
„	Waterloo
„	Gra tal
„	Anioł śmierci (2 tomy)
„	Romans panny Opolskiej (2 tomy)
„	O tchtań
„	Na skielnem Podhalu (2 tomy)
„	Księżniczka Metella (2 tomy)
„	Koniec Epopei (3 tomy)
„	Legenda Tatr (3 tomy)

Winawer B.

„	Lepsze czasy
„	Slepa Latacka
„	Dr. Przybrań
„	Promienie F. F.
„	Boczna antena
„	Boczna antena s. II-ga
„	Kryjaki
„	Na Srebrnym Globie (2 tomy)
z literatury francuskiej:	
„	Gry niebezpieczne (2 tomy)
„	Maly (2 tomy)
„	Przyg. Tartarina w Afryce
„	Przyg. Tartarina w Alpach
„	Dama Kameljowa
„	Trojez Muszkieterowie (3 tomy)
„	Opowiadania Flzackie
„	Selumbo (2 tomy)
„	Przyg. Cyrana Bergerac (2 tomy)
„	Nędznicy (8 tomów)
„	Milosc
„	Panna Fifi
„	Szalony
„	Cyganeria (2 tomy)
„	Manon Lescaut
„	Lot w nieskończoność
„	Walka o ogień (2 tomy)
„	Boje oibryzmów
„	Kurjer carski
„	Za jedną noc
„	Maizenie
z literatury włoskiej:	
„	Pinokio
„	Czerwona księżeczka
„	Odcięta ręka

Dzikowski St.
Gomulicki W.
Grubiński W.
Hajota
Jagniątkowski
Junosza Klemens
Klasczyński Z.
Korzeniowski J.
Kraszewski J. I.

Ligocki E.
Sewer
Stoniński E.
Tetmajer-Prz. K.

Romans Sekr. poselstwa (2 tomy)

Tajemniczy podrózny.

Pociąg

Z pod ciemnej gwiazdy

Złamane życie

Na warszawskim bruku

Wasciele

Von Molken

Na złamane karku (2 tomy)

Zajac

Pan Jedrzej Plazczalski (2 tomy)

Gracz

Słodme Amen

Nowele

Ostatnia butelka (2 tomy)

W legji cudzoziemskiej

Na bruku

W latarni

Spekulant

Hrabina Cosel (2 tomy)

Ostatni z si-kierzyńskich

Chata za wsią (2 tomy)

Powrót Beatryczy

Ba ecznie kolorowa

O dzielniach, wariatach i grafie-

Partija [manach

Waterloo

Gra tal

Anioł śmierci (2 tomy)

Romans panny Opolskiej (2 tomy)

O tchtań

Na skielnem Podhalu (2 tomy)

Księżniczka Metella (2 tomy)

Koniec Epopei (3 tomy)

Legenda Tatr (3 tomy)

List zwrotny DO BIBLIOTEKI GROSZOWEJ

w Warszawie
Mniuszki II m. l.

Upraszam o nadsyłanie wydawnictwa tygodniowego

Biblioteka Groszowa.

Należność, z przesyłką pocztową:
Za kwartał (13 tomów, łącznie
z dwutygodnikiem Magazynem
i in. dodatkami) **zł. 9 gr. 95**
„ kwartał w oprowie **zł. 13 gr. 95**
jednocześnie przesyłam przekazem
(P. K. O. 11.140)
proszę pobrać za zaliczeniem pocztowym, z doliczeniem kosztów zaliczenia

Wiersz nie-
potrzebny
przekreślić

Imię i nazwisko

Adres

C B I L I O T E K A G R O S Z O W A

z literatury hiszpańskiej:

Aidenon — Zemsta Kondora
Genez Blasco — Meysyk

z literatury skandynawskiej:

Amundsen — Lot do bieguna północnego
Strindberg A. — Opowieści

z literatury amerykańskiej:

Lewis Singlair — Babbit (3 tomy)
London J. — Na szlaku
Opow. i motz południowych
Syn Słońca
Zew Krwi
Wyga — Prawo białego człowieka
Odszczerzeniec
Serce kobiety
Wilk morski (3 tomy)
Odysea północy
Przyg. w zat. San Francisco
Bóg Ojców Jego
Przygoda (?) tomy)
Martin Eden (1 tomy)
Płanzy ameryk. — Melżeństwo w Ameryce
Twin Marka — Krol i Osiol
Wallace R. — Ben Hur (2 tomy)

z literatury niemieckiej:

Hoffmann — Opowieści
Pepuz i Frank — Cud Dama Singha

Jekay M

z literatury węgierskiej:

— Athalyda
— Inne czasy, inni ludzie (3 tomy)
— Porusz. z posiad. ziemi (4 tomy)

z literatury angielskiej:

Bennet — Rozrywki miljonera
Bulwer T. — Ostatnie dni Pompei
Conrad J. — Telfin
Dickens K. — Opowieść wigilijna
Lefcardo Hearn — Czerwony ślub
Stevenson L. — Japonia
— Diament Raddy
— Ojalla
Walter Scott — Ryszard Lwie Serce (4 tomy)
Wells H. G. — Nowidzialny
Wells H. G. — Wchłonił czas
Kraina ślepców

z literatury fasyjskiej:

Aidenow M. — Św. Helena, mała wyspa
Czechow A. — Opowieść nieznanego
Dostojewski T. — Śmierć urzędnika
— Skrzywdz. i poniżeni (3 tomy)
— Grecz

— Biała noc
— Dekabryści (1 tomy)
— Puszkina A.
— Szczepanek
— Judaszek
— Haddi-Murat
— Zmarłych wstanie (3 tomy)

z literatury dżajskiej:

— Winiłczenko — Historia Jakimowego gimnacha

Zamówienie

Do

Biblioteki Groszowej

w WARSZAWIE

ul. Moniuszki 11/1.